№ 49 Warszawa, dnia 24 Listopada (6 Grudnia) roku 1878.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu zlr 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w roku przyszłym 1880 wychodzić będą podtemi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może. Zaraz z pierwszym numerem rozpoczniemy druk powieści dwutomowéj p. t. **Eugenia Lawal**, napisanéj oryginalnie przez Kazimierza Gregorowicza, osnutéj na tle życia społeczności francuzkiéj i na dokumentach urzędowych. Późniéj pomieścimy drugą część Obrazków Warszawskich p. t. Błędne drogi.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie . . .	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swéj użyteczności, zrobić przystępną dla każdéj rodziny.

Adres: do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczéj, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcyi rolniczéj i zwierzęcéj, jak niemniéj zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju w roku przyszłym 1880 wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami pod głównym kierunkiem J. K. Gregorowicza.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 20**

Półrocznie	**„ 2 „ 40**
Rocznie	**„ 4 „ 80**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1 kop. 50**
Półrocznie	**„ 3 „ —**
Rocznie	**„ 6 „ —**

Przesyłając pieniądze prosimy adresować: do *Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie, ulica Chmielna N. 20.*

LISTY Z PODRÓŻY.

PRZEZ

Stefana Marusińskiego.

Luxor 28 listopada 1878 r.

Właśnie wczoraj odebrałem listy wasze które tu na mnie 2 tygodnie już czekały. Z jaką ciekawością i chciwością je czytałem tego sobie pewno nie wystawicie. Dzięki Bogu żeście wszyscy zdrowi, bo o to najwięcéj mi chodziło, dziś już jestem spokojniejszy, i to cieszy mnie bardzo że mogę odbierać od was wiadomości. Aż do Sint idzie list koleją, ztamtąd zaś bierze Arab na plecy worek z listami i musi biedz jak strzała przez godzinę, późniéj drugi odbiera od niego i tak daléj. Z Sint aż do Luxor idzie list tylko dni 4, gdyż posłańcy dzień i noc biegną zmieniając się ciągle. Ta poczta idzie aż do Assnan, z Assnan zaś do Cartum znów na wielbłądach.

Ponieważ niedługo tu zabawię darujcie więc iż list mój mniéj obszerny, lecz za to późniejsze nagrodzą. Ach moi drodzy jakże tu gorąco, nie mogę

sypiać w mieszkaniu bo zdaje się dusić: urządzam więc sobie noclegi na świeżém powietrzu co wielką jest przyjemnością: nad głową niebo wiecznie błękitne, w około szumią palmy jaśminu i inne drzewa zwrotnikowe, a u stóp mruczy Nil opowiadając nadbrzeżnym skałom dzieje zaginionych narodów. Co wieczór myślę i wzdycham do was moi drodzy, i zdaje mi się iż tylko silnéj woli potrzebuję, aby lotem ptaka przenieść się i stanąć pomiędzy swoimi. Dziś już na próżno szukam gwiaździstego wozu na niebie tam gdzie ojczyzna na północ, zniknął on z horyzontu, a na jego miejsce pokazuje się konstellacya południowa Wielkiego Krzyża. Już i biali ludzie ustają po trochu, a pokazuje się rasa czarnych Etiopów i Nubijczyków dziś Berberami zwana. Są to po największéj części bardzo ładni ludzie choć czarni.

Tu w Luxor mieszkam u konsula Niemieckiego którym jest Kopt chrześcianin, ugaszcza mnie bardzo uprzejmie i elegancko; syn jego miły człowiek i jak na tutejszego krajowca dosyć wykształcony, mówi po angielsku, więc często przy pogawędce zachodzimy do Europy i do was moi kochani. Wczoraj zwiedzałem ruiny starożytnych Teb, mnóstwo przepysznych rzeczy, świątynie, kolosy, obeliski, groby królewskie i t. d. Do tych ostatnich prowadzi bardzo przykra i niebezpieczna ścieżka przez góry nad Nilem, są one bowiem już na pustyni, za przewodnika miałem Araba który zna doskonale drogę, lecz potrzebowałem wiele przytomności i zimnéj krwi, aby ścieżkę tę przebyć, do tego stopnia jest trudno iść że nawet obcasy poodrywały się mi od butów: Wszystkie jednak trudy, obejrzenie grobów wynagrodziło mi tysiąckrotnie. Coś przepysznego! od tylu tysięcy lat, farby, malowidła wszystko jeszcze tak świeże jakby dziś dopiero skończone, po ścianach skulptury przedstawiające życie i urządzenie domowe dawnych Egipcyan, a wszystko tak artystycznie i pięknie wykonane że, dość napodziwiać nie można talentu i pracowitości ówczesnych artystów. Oprócz tego zwiedzałem jeszcze w Saint, na lewym brzegu Nilu, stare groby i świątynie w Denderach. Zwiedzając Dendery zaszedłszy w podziemne korytarze téj świątyni, gdzie ogromne gorąco panowało, przypomniałem sobie żywo ustęp z „Romansu Mumii“ w którym profesor robi poszukiwania z młodym Anglikiem; a z listu waszego dowiaduję się że właśnie po raz drugi czytacie tę powieść niejako na moją intencyą. Jakże dziwne podobieństwo i wspólność myśli naszych, nie prawdaż?

Teraz popłynę do Assnam, leży ono na południe od Luxor i wymaga kilka dni podróży po prawym brzegu Nilu: daléj znajduje się Wadi Halfa, Dongola zaś leży na lewym, a Cartum tam gdzie się Nil biały łączy z niebieskim. Są to wszystko miasta wprawdzie różne od naszych, lecz zawsze noszą tę nazwę pomimo iż domy wszystkie z małym wyjątkiem są budowane z gliny. Ruiny Teb leżą tam gdzie stoi Luxor, Karnak i naprzeciw nich na drugiéj stronie Nilu. Z miasta nic nie pozostało bo domy budowane były z gliny, świątynie tylko obeliski posągi, pałace Faraonów i groby z kamienia.

Do „Drzewa Maryi“ dojść nie mogłem bo na okół była woda, wylew bowiem Nilu w tym roku był olbrzymi jak rzadko, wiele więc ciekawych miejsc stało pod wodą. Wylew ten zrządził wielkie szkody w dolnym Egipcie począwszy od Saint aż do Rosetty i Damietty.

Wskutek tego też a więcéj jeszcze dla małego zbioru w roku zeszłym (gdzie Nil nadzwyczaj mało wylał) panuje trochę głód między biednymi Fellachami czyli mieszkańcami wiosek. Będąc w Keneh widziałem 5'000 ludu z poblizkich wiosek, zebranych w mieście dla otrzymania trochy chleba, który rząd rozdaje tym biedakom.

Straszny widok, prawie same kobiety z drobną dziatwą, to nie ludzie to szkielety żyjące, serce się kraje patrząc na nich! O nie daj mi Boże widzieć coś podobnego! Nie wierzyłem własnym oczom że patrzę na mieszkańców Egiptu, owego w starożytności śpichlerza niemal całego świata. Tutejsi Fellahowie są nadzwyczaj uciskani przez rząd który im ostatni grosz za podatek zabiera, a teraz daje im po parę łutów chleba na dzień aby z głodu nie pomarli bo któżby na przyszły rok płacił podatki?

Tu daléj cokolwiek na południe lud zamożniejszy i syty bo nie było takiego zniszczenia.

Lecz dość już o tem! Pocóż zasmucać was opisem a siebie przypomnieniem tak nieludzkich spraw ludzkich.

Nubia Assnan 12 grudnia.

Serdeczne podziękowanie za długie listy które tu zastałem oraz za obrazeczek Matki Boskiéj z Częstochowy, sprawił on mi wielką radość.

„Homo proponit, Deus disponit“ toż i z moją podróżą do Cartum. Przybywszy przed 6-u dniami do Assnan, zdziwiłem się niemało, gdy mnie do paszy wezwano: poszedłem tedy a on mnie się pyta: gdzie się udaję co mam za towar i kim jestem? Zdziwiony tem odpowiadam mu że podróżuję do Cartum, za własnemi interesami.

— Ponieważ nie wszystko wolno jest robić muszę więc zrobić ścisłą rewizyą, rzekł Turek i wraz z całą gromadą urzędników udał się na mój statek. Pomiędzy towarem moim jak płótno, koszule bawełniane, korale, różne świecidełka lusterka i t. p. drobiazgami wiozłem kilka strzelb oraz 10 kilogramów prochu angielskiego, który na wagę złota sprzedaje się w Sudanie.

Cóż powiecie, że wszystek proch i strzelby skonfiskowano mi. Nic nie pomogły protestacye i groźby, zabrano wszystko jako swoje. Oburzony do najwyższego stopnia pytam o przyczynę takiego postępowania. Na to odrzekł mi pasza:

- Czyż nie wiesz że Murzyni w Ludanie tj. w Kordofan i Darfur podnieśli bunt, a i daléj na południu Afryki także są zaburzenia. Od ministra więc spraw zagranicznych wyszedł rozkaz, aby ani ziarnka prochu ani jednéj flinty nie wywożono po za granice Egiptu.

Wyszedłszy oskubany ze statku spotkałem Anglika kupca z nad Czerwonego morza, opowiedziałem mu całą przygodę a on mi radził wrócić do Kairu, bo w Ludanie na teraz nie bardzo jest bezpiecznie.

O powrót mniejsza, niewiele stracę lecz moje strzelby i amunicyą darować im nie myślę. Biorę tedy tytonierkę szyldkretową prześliczną, ostatnią z sześciu jakie już po drodze sprzedałem i udaję się do paszy by mu ją jako „bakszisz“ t. j. podarek ofiarować. Lecz i to niepomogło. „Bechjad degu el nebi“ czyli „na brodę proroka nie mogę oddać rzeczy: tytonierka ładna, lecz jeden jest Bóg i Mahomet posłaniec jego. Skonfiskowanych rzeczy do Sudanu puścić nie mogę. Nie było co z nim robić. Naprzód jechać nie bardzo bezpiecznie, przytem blizko połowę towaru już sprzedałem z dobrym zyskiem, cóż więc robić Wracać trzeba, radzi Anglik, przyszli też i uczeni w piśmie z paszaliku i także do powrotu namawiają. Wreszcie po całodniowem wahaniu zdecydowałem się na to.

Poszliśmy więc z Anglikiem do paszy oświadczając mu że powracam.

— Allach kerim! dobrze robisz, zawołał, za wejściem na statek strzelby i proch zostaną zwrócone, co też i nastąpiło.

Z początku gniewało mnie to ogromnie, miałem bowiem inne zamiary, a tu wydarza się to zaburzenie murzynów, wprawdzie mało znaczące na zewnątrz i za jakie parę tygodni rząd je przytłumi, lecz czekać na to nie myślę i muszę sobie inaczéj radzić.

Zapewnie ciekawi jesteście dowiedzieć się jaki towar prowadziłem? Otóż miałem trochę płótna, lecz i bawełnę na połowę, kilkanaście tuzinów koszul arabskich bawełnianych, grzebienie, tytonierki, pozłacane bransoletki arabskie, korale ub. fałszywe, nożyki, lusterka, laski z ładnemi główkami i t. p. Głównym zaś artykułem był proch który w Aleksandryi kupiony od szwarcowników po 5 fr. za funt w Sudomie po 30 do 40 fr. sprzedaje się. Lecz i tutaj chociaż z mniejszym zyskiem ale zawsze dobrze go pozbędę. Przytem za statek nic nie płacę mały tylko podarek za przybyciem na miejsce.

Pomimo nieudania się mego zamiaru w podróży do Cartum, nie tracę wcale otuchy i tak samo jak pierwéj jestem wesoły i spokojny; najwięcéj zaś do tego przyczyniły się listy z domu, i wiadomość o dobrym stanie zdrowia drogich Rodziców. Co do mnie to dobrze powiedział doktór w Aleksandryi że teraz niczego nie potrzebuję się obawiać, nawet bólu głowy nie doświadczam mimo tutejszego gorąca. Klimat jest nadzwyczaj zdrowy, suche powietrze i przepyszna woda z Nilu przysparzają zdrowia. Co do wody Arabowie mówią: „gdyby Mahomet skosztował był wody Nilowéj, chciałby z pewnością wiecznie żyć na ziemi. Czy uwierzycie że do Stambułu do Seraju Sułtana zawożą tę wodę. Jeszcze w starożytności królowie Assyryjscy i Babilońscy pijali ją.

Ale ale, z krokodylami już się poznałem, właśnie onegdaj zrobiłem wycieczkę na wyspę File, i widziałem na piaskowéj ławicy krokodyle wygrzewające się na słońcu, nie mogąc podejść blizko strzeliłem na odległość 100 kroków może lecz bez skutku, potwór ten trafiony tylko w oko lub paszczę może być zabity, tak blizko zaś podejść nie mogłem bo są trwożliwe i uciekają natychmiast.

Tu w Assan już Nubia, lud czarny lecz urodziwy i o wiele piękniejszy niż Arabowie, chodzi prawie bez ubioru, mężczyźni z tarczami ze skóry hipopotama, i z dzidami w rękach. Lud ten bardzo mi się podoba, mówią swym własnym językiem, który o wiele przyjemniéj i łagodniéj brzmi niż arabski. Zachwycony byłem widokiem katarakt Nilowych o 1 i pół mili drogi po za Assnan lecz obszerniejszy opis na późniéj, bo dziś i czasu brak i zbyt jeszcze chaotycznie tkwi wszystko w pamięci. Od konsula w Luxor dostałem kilka sztuk starych monet oraz małą rzeźbę kota i Typhona, które będę chciał przesłać do domu. Musiałem wpisać się w jego Sztambuch gdzie bardzo dużo imion znakomitych podróżników. Tak więc kochane siostrzyczki skromne imię waszego brata figuruje obok znakomitości naukowych i rodowych, to też chcąc je przyozdobić wyrysowałem w Album część ruin świątyni w Karnak, co konsula bardzo ucieszyło.

Chciałbym jeszcze dużo, dużo pisać, żeby się wywzajemnić za obszerne wasze listy lecz już wielki czas na statek. Może jeszcze przed świętami odbierzecie ten list to proszę przy wigilii połamcie się za mnie opłatkiem, a bądźcie pewni że w ten wieczór myślą będę z Wami moi najukochańsi przy wspólnym stole. Ach drogie nasze narodowe zwyczaje jakże one są piękne i miłe dla serca! Daj Boże bym jak najprędzéj mógł w nich uczestniczyć!

(d. c. n.)

U ruin Krupego.

O piękna pamiątko, wspaniały zabytku
Przeszłości rycerskiéj i naddziadów chwały,
Ty świadku cnót wielkich, przepychu i zbytku
Co niegdyś zebrane siedlisko tu miały.
Jak smutno, boleśnie dziś patrzéć na ciebie,
Jak serce żałością, oko łzą nabrzmiewa,
Bo tyś już dziś trupem, a duch gdzie? Czy w niebie?
Czy błądząc po ziemi, znów ziarno zasiewa?

Tak przeszłość twa smutna, lub świetlana cała,
Otacza tu duszę pamiątek wspomnieniem,
Unosi poezyą jak gdyby ją chciała
Poruszyć gorącem przyszłości pragnieniem.
Zborowski bandyta lecz rycerz zarazem,
Typ hardy szlachcica co walczył zawzięcie,
By z pięknym w swém sercu Gryzeldy obrazem
Niezgiętym, odważnym iść nawet na ścięcie,
A za nim potężny Austryi arcyksiążę,
I wielki Zamojski słynący z mądrości,
Nić wspomnień rycerskich w bogaty laur wiąże,
Laur, który żegnamy, łzą cichą żałości.
A dalej, cóż dalej? Oto mkną przed nami
Rogate i strojne magnatów orszaki,
I huczy kapela, głównemi zaś drzwiami
Zdążają wciąż nowe możnéj szlachty szlaki.
Bo świetnie i gwarno pan zamku się bawi,
Przyjmując dziś kraju u siebie kwiat cały,
A kiedy już pary w polskiego ustawi,
Gdy w rytmie muzyki poruszyć się zdały,
Rozprysło się wszystko! Zdziwiony tymczasem
Powstajesz, ruiny gdzie rzucisz spojrzeniem,
Zniszczenie, zagłada, jedynym lat darem,
Bo wszystko ułudą, fantazyi marzeniem!
Więc żegnaj zamczysko co karmisz widmami,
Żegnajcie mi duchy świetlanéj przeszłości!
Kołysząc zaś młodych chwały wspomnieniami,
Upojcie ich czasem nadzieją... wielkości!

Natalja K....

SYN PUSZCZY.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

Fryderyka Halma.

Przełożony z niemieckiego

przez

Józefa Grajnerta.

(Dalszy ciąg).

Ingomar (na wpół do siebie).

To pieśń, która mi rozum przewróciła,
To błyskawica, co rozdarła chmury!

Partenia.

Więc znowu marzysz, widzę...

Ingomar.

Czyś nie rzekła:
Miłość, to ogień, co się w oczach rodzi,
A sny go żywią! Tak, one go żywiąc,
Płomienie jego wzbiły aż pod niebo!

Partenia.

Jak? O miłości mówisz?

Ingomar.

Rzekła matka:
Miłość to gwiazda w raj ludzi wiodąca,
O, zbliż się, przybądź! Już promień jéj błyska,
Przed nami jasna i pogodna droga!

Partenia.

W oczach ma iskry, lica jego płoną!
Przedwieczne bogi!

Ingomar.

Niech tam bogi w górze
Śpią na chmur łonie, wszak one tam z sobą
Wszystkie powaby ze świata zabrały,
Tylko miłości jednéj zapomniały;
Więc my przez miłość szczęście ich posiądźmy!
Partenio, ty bądź moją!

Partenia.

Precz, szalony!

Ingomar.

Na wszystkie noce mych snów gorączkowych,
Na te płomienie, co serce me trawią,
Do dna wychylę pieniący się kielich,
Tyś moją, moją!

Partenia.

Gdzież się ukryję? Precz!

Ingomar.

Tyś moją.

Partenia (przyłożywszy szybko sztylet do piersi).

Odstąp! Bo zginę!

Ingomar.

Stój! Wstrzymaj
Dłoń z tém żelazem!

(ona na wpół przerażona, na wpół gniewna spoglądając z boku).

Co się ze mną dzieje,
Co mię wstrzymuje. Czym nie jéj pan? Ona
Nie jestże moją niewolnicą?
Wzrok jéj płomienie gniewu rzuca na mnie;
Nie znałem trwogi nigdy, czemuż teraz
Zda się że bojaźń wzrok mi w ziemię wbija!

Partenia.

O, ja nieszczęsna!

Ingomar.

Tyś nieszczęsna? Czemu?
Jam cię przestraszył; za porywczy byłem!
Lecz to krwi wada, obyczaj mój szorstki,
A miłość...

Partenia.

Miłość! Nie ma tu miłości!
Jam w życiu tylko rodziców kochała;
I gdybym kiedy jak inne tam u nas.
Miała kraj ojców rzucić dla miłości,
To wtenczas tylko, gdyby umysł szczery
W staraniu tkliwem, z obawą związanem
Wpół mi ulegał, wpół moim był panem;
Musiałby godność swą czcić w sercu mojem,
Chcieć wszystko zyskać, ale nie przebojem;
Takiby musiał chcieć mię strzedz, wieść, nosić...
Lecz pocóż marnie słowa trwonię z tobą!

(chce odejść).

Ingomar (zastępując jéj drogę).

Stój, musisz zostać! Niegodnym mię cenisz
Słów swoich? Czy ty wiesz, kim jestem?
Jam wodzem wielkim, dźwięcznie i szeroko
Po wszyskich górach brzmi czynów mych sława;
Jam twój pan; zaszczyt, sądzę, nieść ci winna
Łaska twojego pana, a więc rozważ,
Kto ja, a kto ty?

Partenia

Kim jestem, pytasz?
Jestem Partenia, wprawdzie li Mirona
Płatnerza dziecko, jednakże Greczynka,
Massalii córa wolna, wykwitnięta
W ochoczéj służbie dobrotliwych bogów,
Pierś mię łagodnéj wykarmiła matki,
Piękno i wymiar kołyską mi były!
Ty zaś surowych borów jesteś synem,
I wzrosłeś społem z dzikiemi zwierzęty,
A choćbyś nawet był pierwszym w narodzie,
Nam barbarzyńcem, niszczycielem będziesz,
Złodziejem bydła; a wiedz, że my w domu
Złodziejów chłoszczem, łupieżców krzyżujem!

Ingomar.

Zuchwała!

Partenia.

Teraz, gdym się wywnętrzyła,
Teraz oddycham, a ty rozważ teraz,
Kto ja, a kto ty?

Ingomar.

Jak śmiałaś. To hańba,
Drwiny. Mnie hańba! Więc na wszystkie bogi,
Doznasz, jak u nas niewolników gromią.

Partenia.

Pewnie skromicie ich głodem, pragnieniem,
Pewnie miłości uczycie ich biciem?
Lecz niewolnicy nie kochają; oni
Tak nienawidzą jak ja ciebie, i nic,
Wiedz o tem, siłą nie wymożesz na mnie,
Prócz jednéj rzeczy, gorszéj niż nienawiść...

Ingomar.

Przestań! Na gniew mój! Zamilcz.

Partenia.

Prócz pogardy.

Ingomar.

Ha. przypłać słowa te krwią!

Partenia.

Masz ją, wytocz!

Ingomar (z obnażonym mieczem napada na Partenię i nagle się zatrzymuje).

Nie! Raczéj życie stracę sam!

(wypuszczając miecz z dłoni)

Biada mi!
Zabrakło woli! Gniew i krew zapala:
Chciałbym świat, siebie rozszarpać w kawałki,
Nie jestem sobą już. Dawna znikła moc!

(rzuca się w najgwałtowniejszem wzruszeniu na ziemię).

Partenia (po chwili).

Cóż to jest? U stóp moich miecz ten, który
Co tylko błysnął, grożąc głowie mojéj!
On powalony, prawie bezprzytomny.
Cóż się to stało? Ach, zbyt srogą byłam!
Zkąd się wziął gniew ten, co w mem sercu wezbrał?
Zarozumiałość jego, choćby...

Cóż znów?
On płacze. Czegóż płaczesz, Ingomarze?

Ingomar (zerwawszy się z ziemi).

Ja mam płakać! Nie! Niewiasty niech płaczą,
Jam chory, bardzo! Nic więcéj! Mną gardzić,
Ojczyzny chwałą, dumą, wrogów strachem.

(obrzuciwszy ją gniewnem spojrzeniem)

Idź! Ja bez ciebie się obejdę! Mniemasz,
Że nad me siły to? Otóż tak. Idź ztąd!
Tyś wolna, słyszysz, wolna! Jak ja, wolna!
Wróć do ojczyzny! Precz! Bez ociągania!
Twój dech mnie ogniem gorączki pochłania,
Twój wzrok mnie truje! Precz, natychmiast precz!

(wybiega nagle przodem sceny).

Partenia.

Odszedł, zjątrzony gniewem! Niech się gniewa;
Słusznie, żem jego zadrasnęła dumę,
Gdy mojéj dogryzł barbarzyńca hardy!
Ogniem gorączki dech mój go pochłania!
I mam natychmiast ztąd odejść! Więc zgoda,
Nie rzeknie tego raz wtóry! Jam wolna,
Niechże krok lekki do swoich mię niesie!
Matka mnie woła, ojciec mi ramiona
Otwiera.

(zatrzymując się)

Jakto? Mam w zaciętéj zwadzie
Rozstać się z tym, kto uczynił mi lekkiem
Jarzmo niewoli, który mi dał wolność;
A choć to w gniewie spełnił, jednak spełnił!
Więc, za dnia czekać na niego tu będę;
On musi tędy wracać! A następnie,
Chwila po temu nadarzy mi pewnie
Słówko stosowne, gniew jego ukoję,
I z lżejszém sercem wrócę w progi moje!

(podczas gdy siada na odłamie skały, na której wpiérw postawiła koszyczek, wchodzą zwolna na przód sceny Ambiwar, Samon, i Trynobant, którzy w czasie ostatnich słów Partenii zjawili się w głębi sceny).

Samon

Do jutra, mówił, chce odłożyć wszystko!

Ambiwar.

A jutro powie znów to samo, i tak
Spełznie wyprawa.

Trynobant.

Niech pioruny trzasną!
Dosyć już tego!

Trynobant.

Więc do Ingomara
Pójdźmy! Dziś chcemy wyruszyć.

Ambiwar.

Wy chcecie,
A on tam we mchu przy Greczynce leży,
Słucha jéj piosnek, każe baśni prawić.

Trynobant.

Tak, ta Greczynka wszystkiemu jest winna,
Więzi go.

Samon.

Tak jest, więzi go czarami!
(rozmawiają dalej po cichu).

Partenia.

Nie wraca, czyżby jak mówi był chory!
Tak mówił, jest chorym bezwątpienia!
Raz zapłonęła twarz jego, to zbladła,
Tak, zbladła, gdyby tu wszedł, o, przez bogi,
Serce mi bije, tam w cieniu tych krzewin
Skryję się, kroków jego śledzić będę!

(przechodzi szybko przez scenę i znika na lewo z przodu sceny).

Ambiwar.

Tak, nie inaczéj, wierzcie mi, nie prędzéj
Ingomar ruszy ztąd: póki Greczynki
Nie wypędzimy.

Trynobant.

Lecz ona jest jego!

Ambiwar.

Hola! Wszak łupy jeszcze nie dzielone,
Więc tak jest dobrze naszą jak i jego!

Samo.

Naszą jest, słusznie!

Trynobant.

I cóż z nią zrobimy?

Ambiwar.

Słuchajcie, okręt zawinął do brzegów.
Wiem z Kartaginy to kupcy! Tam więc
Ją dostawimy! Dadzą za nią mieczy,
Naramienników, łuszczastych pancerzy.

Samon.

Zgoda!

Ambiwar.

Do dzieła zatem!

Trynobant.

Lecz Ingomar
Jeźli się dowie.

Ambiwar.

Już będzie po sprawie!
(do siebie)

Łotrem mnie nazwał; niechże nim zostanę,
Nie dzisiaj jeszcze skończę z nim rachunek.

Samon.

Otóż i ona.

Ambiwar.

Sza! Na bok! Tu, za mną!

(Ustępują na prawo w głąb sceny podczas gdy Partenia z lewéj na przód sceny wychodzi z krzaków.

Partenia.

Na mchu bezwładnie leży tam, i lica
W dłoniach ukrywa, a te dłonie drżące,
I ciężki oddech piersi mu unosi!
Jestże on chory, lub...

Przedwieczne bogi!
I ja téj saméj lękam się choroby!

Ambiwar (Podkradłszy się tymczasem bliżéj z towarzyszami do pogrążonéj w myślach Partenii).

Chłopcy! już nasza.

(Tektosagowie uchwyciwszy ją za ręce trzymają mocno).

Partenia.

Cóż to, precz ode mnie!
Co chcecie?

Samon.

Cicho, moja kurko, cicho!

Partenia.

Precz, mówię wam, precz!

Trynobant.

Cicho, dziewko, bo cię...

Partenia.

Jak śmiecie! puśćcie.

Ambiwar.

Daléj z nią w gęstwinę!

Partenia (ciągnięta przez Tektosagów na prawo przodem sceny w zarośla).

Wy mnie ocalcie, niebiescy mściciele!
Gwałtu, ratunku.

(już za sceną)

Ingomar!

Ingomar (wpadając szybko na przód sceny).

Kto wołał?
Byłże to jéj głos?

(spoglądając po scenie)

Ambiwar. Gdzie miecz mój,
Mój miecz!

(pochwyciwszy miecz z ziemi który poprzednio wypuścił z dłoni)

Ha, mam go, będzie krwią się poił!

(szybko wybiega przodem sceny na prawo; po krótkiéj chwili wypada Partenia z zarośli).

Partenia.

Biada! O, zgrozo!

Ingomar z mieczem w dłoni tuż za nią wchodząc).

Gdzież biegniesz? tu zostań,
Wszak to ja! Zostań! Jak zbladłaś! Chwiejesz się,
Partenio! Wesprzyj się na mem ramieniu,

Partenia.

Precz, twa dłoń krwawa!

Ingomar.

On nie żyje, niechże
Śmierć jego będzie dla drugich przestrogą!
Opuszczasz głowę! Tak szorstko i dziko
Ręce niezdarne mój kwiat pochwyciły!
Cóż tak drżysz, Oni skrzywdzili cię. O, tak,
Odpłacą za to, wszystkich, co do nogi
W prochu do twoich stóp jak psów przywlokę!

Partenia.

Słyszysz! Szczęk broni, tętent.

Ingomar.

Jam przy tobie,
Żadna moc ziemska ciebie się nie dotknie!

Partenia.

Tam, tam! Biada mi, już idą...

Ingomar.

Niech idą!
Wkoło mych skroni skrzydła orle szumią!
Boskie natchnienie wstrząsło całém ciałem.
I jeśli piorun niebios mię nie zmoże,
Wszystkie potęgi ludzkie upokorzę!

(Podczas ostatnich słów Ingomara wbiegają Alastor, Trynobant, Samon, Nowio i inni Tektosagowie uzbrojeni w miecze, włócznie maczugi i w groźnéj postawie jedni za drugimi występują na przód sceny z prawéj strony).

Ingomar (postępując ku nim).

No, cóż to znaczy? Czego chcecie? Mówcie!

Alastor (po chwili).

Krew wytoczona domaga się zemsty;
Tyś Ambiwara zabił mieczem swoim.

Ingomar.

Tak uczyniłem, gdyż zbrodniczą dłonią
Tknął się téj, która jest moją!

Alastor.

Tak nie jest;
Aż do podziału wszelka zdobycz, wspólna;
Tak uchwalono.

Samon.

Wydaj tę kobietę!

Nowio.

Wyrwać ją.

Ingomar.

Ano! Pójdźcie tu wszyscy!

Partenia rzucając się na ręce Ingomara).

Stój!
Za wielu tam ich! Stój! Zabiją ciebie.

Ingomar.

Gdzie męże walczą, przecz z kobietą. Pójdźcie!

Alastor (wchodząc pomiędzy Ingomara i Tektosagów).

Stój, i ja mówię, słuchajcie mnie bracia!
Wybrany przez nas wodzem, Ingomarze,
Dostałeś prawo na piątą część łupów,
A miałeś za to zwady nasze godzić,
I zysków naszych i praw naszych bronić;
Tymczasem w gnuśnym spoczynku czas trwonisz,
I niewolnicę przywłaszczasz upornie,
I w uniesieniu zabijasz nam brata!
Ty więc, opieko i obrono prawa,
Podwójnieś zgwałcił to prawo i pokój,
I źle odpłacasz zaszczyt zaufania.

Ingomar.

Jam praw, pokoju nie zgwałcił! Ów raczéj,
Tę ot porwawszy, i mnie i was okradł,
I nieraz na los ten sam już zasłużył!
Co do waszego wyboru, to wiedźcie:
Że mnie już męczy to trzymanie w karbach
Hardego ludu; odtąd należycie
Sami do siebie; ja was się wyrzekam!
Tę biorę sobie; zaś piątą część łupów
Mnie przynależną w nagrodę mych trudów,
Jako zapłatę za krew Ambiwara
Zabierzcie! Jeźli na to przystajecie,
To mówcie; jak nie, to miecz niech roztrzyga!

Trynobant,

Piątą część łupów...

Nowio.

Istotnież to mówi?

Alastor.

Najmniejby dziesięć wołów mu przypadło,
W dwójnasób owiec.

Samon.

Héj, to nie zły kąsek!

Alastor (po krótkiém szeptaniu z drugimi).

Ja myślę, że się zgodzim! Ingomarze,
Całkiemże nie chcesz udziału w zdobyczy?

Ingomar.

Tak rzekłem!

Alastor.

A więc niewolnica twoją,
I gdy nas teraz powiedziesz do domu,
To znów cię jak wpierw słuchać będziem wiernie.

Ingomar.

Zamiar mój stały! Zrzekam się was wszystkich!
Pójdę do naszych sąsiadów Awernów,
Pod Pireneje, by nowe tam kraje
I inne ujrzyć zwyczaje! Wy wróćcie,
Ja pozostanę.

Alastor.

Lecz rozważ, ów napad
Na Allobrogów.

Ingomar.

Rozważyłem dobrze;
Ruszajcie!

Alastor.

I ty wyrusz z nami! Wy zaś
Zwińcie namioty, i daléj, do domu!

Ingomar (pódczas gdy Alastor i inni Tektosagowie zwolna się oddalają, do Partenii).

Ciesz się więc, dziewczę! Już się wybierają,
I gdyby nie twa bladość, nie twe drżenie,
Drożejby hardość swoją przypłacili!
Lecz teraz z lic swych spłosz obawę wszelką,
Siądź tu i spocznij.

Partenia.

Ach, jakżem ci wdzięczna.

Ingomar.

Mnie wdzięczna? Za cóż?

Partenia.

Choć spełniłeś tylko,
Co ci kazało serce; lecz że serce
Tak ci kazało, że wyśmiana w domu,
Wybawiciela znalazłam w pustyni,
Za to niech w tobie dzięki bogom złożę!
Pomnij też o téj co cię nie zapomni,
I bądź zdrów!

Ingomar.

Bądź zdrów? Co ty mówisz? Jak to?
Nie chcesz iść ze mną do kraju Awernów,

Partenia.

Dałeś mi wolność, więc mi do ojczyzny
Dozwól powrócić.

Ingomar.

Ja, dałem ci wolność,
Ty, marzysz?

Partenia.

Jakto? cofasz słowo dane!

Ingomar.

Słowo, zaprawdę, zdaje się. Ha, gdym dał
Słowo, więc ważne, przeto idź do dom!

Partenia.

Dziękuję!

Ingomar.

Nie, nie, Partenio, mnie zda się,
Jakby na ziemi dnie się już skończyły,
Jakby w noc wieczną padł słońca blask hoży!
Nie mogę wierzyć, żebyś odejść chciała.

Partenia.

Rodzice tęsknią za swem dzieckiem.

Ingomar.

Tak jest,
W istocie, idź więc...
Lecz nie. Rozważ tylko,
W koło bór ciemny, krętych skał przepaści,
Straszne otchłanie huczących potoków,
I w kniejach niedźwiedź lub wilk czyhający,
A ty, chcesz sama.

Partenia.

Sama tu przybyłam,
I sama wrócę!

Ingomar.

Nie, tak nie powrócisz.
Alastor, Nowio przez bór cię przewiodą!
Héj, bywaj!

Partenia.

Nie, nie, raczéj wilk i niedźwiedź
Niż owi dzicy.

Ingomar.

Tak mniemasz Istotnie
Toby znaczyło: jagnię wilkom zwierzyć!
A więc!
(nagle z uniesieniem)
Ja ciebie odprowadzę sam.

Partenia.

Ty?

Ingomar.

Czegóż tak badasz mnie wzrokiem? Czy sądzisz,
Żem wart niewiele od nich więcéj?
O, nie,
Partenio, jam już nie ten, jakim byłem!
Nie znałem nigdy lęku, łez nie pomnę,
A dziś obojga tyś mię nauczyła;
Mnie się nie lękaj! Wierz mi i zaufaj:
Na świadków moich wszystkich bogów wzywam.

Partenia.

Nie, nie przysięgaj! Dla mnie oko twoje
Pewniejsze, świętsze niż przysięgi wszystkie.
Gdyby skłamało, świątby stał się kłamstwem!
Dobrze więc, prowadź, bądź przywódzcą moim!

Ingomar.

Przyzwalasz. Pójdź więc, ja cię przeprowadzę;
Szukać ci będę najchłodniejszych cieniów,
Najmiększych muraw; przed każdym kamieniem,
Przed każdym cierniem wołać będę: baczność!
Pnącą się w góry wesprę cię ramieniem,
Nie, czemuż wspierać, ja cię nosić będę...
(chce ją pochwycić w objęcia),

Partenia (cofnąwszy się).

Żalim ja dziecko, że mnie nosić trzeba?
Umiem ja biegać, piąć się po skał zrębach,
Nie troszcz się, wszędy kroku ci dotrzymam;
Nie ramion twoich mi trzeba lecz dłoni,
By tu i owdzie wskazała mi drogę.

Ingomar.

Zatem chcesz...

Partenia.

Pragnę, byś szedł zawdy przodem,
Wszak przewodnikom kroczyć wpierw przystoi,
Ja zaś za tobą pójdę.

Ingomar.

Pójdziesz za mną...

Partenia.

A w razie trwogi.

Ingomar.

Ustrzegę cię od niéj,

Partenia.

Czasem też, kędy ścieżka równa, będziem
Szli obok siebie, gwarząc to i owo,
I, żebyś nie szedł z próżnémi rękami,
Będziesz niósł ot ten koszyk z poziomkami!

Ingomar.

Koszyk?

Partenia.

Tak, koszyk. Nie chciałżebyś nieść go?

Ingomar.

Chcę, owszem, wezmę.
(bierze koszyczek).

Partenia.

A ja znowu, patrzaj,
Wzamian twą tarczę i włócznię poniosę.

Ingomar.

Ten ciężar.

Partenia (pochwyciwszy opartą o drzewo włócznię i zdjąwszy tarczę).

Pozwól, mnie to bawić będzie!
Oddawna zżyłam się z błyszczącą bronią;
Widać to w krew już po ojcu mi przeszło!
A teraz, czemuż zwłóczym, masz już koszyk,
Myślę, że czas iść. Słyszysz? Héj, ty wpadłeś
W zadumę.

Ingomar.

Mnie to snem się wydaje. Pójdź,
Dołem, nad rzeką najbliżéj nam będzie!

Partenia.

Przewodnik, naprzód, ja dotrwam ci wszędzie.
(Ingomar z koszykiem w ręku wychodzi na prawo przodem sceny; Partenia z tarczą na ramieniu i włócznią w ręce prawéj, idzie za nim).
(Zasłona spada).

(*d. c. n.*)

Kronika Paryzka.

Wybór utworów dramatycznych z tegoczesnéj literatury greckiéj. Komedya: Wybór Małżonki.

Dzięki rozmaitym wydawnictwom paryskim, teatrom, odczytom, posiedzeniom akademii i t. d. można niejako zwiedzić całą kulę ziemską, poznać wszystkie jéj osobliwości, sprawdzić postęp nauk i śledzić dalszy rozwój literatury powszechnéj, nie opuszczając murów Paryża. Dzięki pracy uczonych i uzdolnionych literatów; dzięki zabiegliwości różnego rodzaju przedsiębierców; Paryż stał się niezaprzeczenie głównem ogniskiem cywilizacyi, ku któremu zbiegają się wszystkie promienie rozsiewając w zamian światło w najrozmaitsze strony.

Pan Courtelly Grek mieszkający w Marsylii, chcąc dać poznać światu prace naukowe i literackie swych rodaków, postanowił tłomaczyć takowe na język francuzki, i ogłaszać drukiem w pojedynczych zeszytach. Pierwszy właśnie zeszyt zawiera komedyą napisaną przez młodego pisarza dramatycznego Demetriusa Puparrigopoulosa, zmarłego przedwcześnie w Atenach. Tytuł komedyi jest „*Wybór Małżonki.*“ napisany w sposób alegoryczny za wzorem Arystophana, słynego dramaturga starożytnéj Grecyi. Znalazł on powodzenie już nietylko w Grecyi, gdzie od lat dziesięciu grywanym jest ustawicznie po wszystkich teatrach, ale nadto i we Włoszech, gdzie dokonane tłomaczenie rozeszło się w kilkunastu tysiącach egzemplarzy.

Osobą chcącą się żenić jest właśnie lud, szukający małżonki, czyli rządu najodpowiedniejszego do swoich potrzeb.

Na początku sztuki lud w postaci mężczyzny przybranego skromnie, przechadza się po sali, oczekując na skutek ogłoszenia oznajmiającego zamiar znalezienia małżonki.

W mieszkaniu zupełna pustka; nie ma nic prócz kilku krzeseł, stołu i dużéj flaszy wina dozwalającéj zapomnieć o trudnościach doczesnego żywota.

Nagle wchodzi kobieta przybrana bogato, i patrząca na mężczyznę przez lornetę z pewną wyniosłością.

Przytem objawia gotowość poślubienia go, chociaż związek ten z wielu względów nie będzie zgodnym z jéj widokami. Na zapytanie o imię i nazwisko odpowiada:

— Jestem rządem właściwym Turcyi, Chinom

i innym państwom azyatyckim. Należę do rzędu najszlachetniejszych kobiet. Ojcem moim jest przestrach a matką ciemnota. Będę najlepszą z kobiet, uczynię twoje życie spokojnem i szczęśliwem. Nie będziesz się niczem zajmować. Ja stać będę na czele domu całego; zarządzać będę twoim majątkiem, wyrażać twoje uczucia i wyobrażenia. Nie będziesz nawet potrzebował myśléć, ponieważ cię zastąpię we wszelkich czynnościach życia.

— W takim jednak razie, odpowiada mężczyzna, moje znaczenie przywiedzionem będzie do zera, i nie będę wcale użytecznym.

— Przeciwnie, odpowiada kobieta, będziesz użytecznym wielce. Jesteś pracowitym i czynnym, zarabiać przeto będziesz wiele pieniędzy, które ja wydam odpowiednio do mego zapatrywania się na rzeczy. Osoby przychodzące nas odwiedzać, zwracać będą wyłącznie uwagę na moją osobę. Mnie otaczać będą grzecznościami i podchlebstwem. W trakcie tego pracować będziesz w polu, skrapiając ziemię uprawioną potem, płynącym z twego czoła. Nic nie naruszy spokoju twego ducha, który tak lubisz, będzie on bez przerwy twoim udziałem.

Rozmowa powyższa nie była skończoną, kiedy zjawia się inna osobistość przybrana w połowie za mężczyznę w połowie za kobietę: lud nie wie jaki nadać tytuł pana czy pani.

— Jestem monarchia konstytucyjna, mówi osoba dwóznaczna, powziąwszy wiadomość panie narodzie że chcesz ożenić się, przybywam o ile możności najśpieszniéj.

— Niezawodnie radbym się ożenić, odpowiada lud, ale... z kobietą, ty zaś jesteś istotą dwupłciową, czemś nieoznaczonem i niewyraźnem. Któż jest twoim ojcem?

— Mam dwóch ojców, odpowiada monarchia konstytucyjna, wahanie się i obawę.

— A matka twoja?

— Wolność! Urodzoną jednak zostałam przedwcześnie. Posiada ona wielu służących, ale po nad nią znajduje się gospodyni z nadanem mianem *izby* i rządzca nazywany *senatem*. Gospodyni czyli izba, jest nadzwyczajnie gadatliwa i lubiąca rozumować przy każdéj nastręczonéj sposobności. Monarchia konstytucyjna prosi ją naprzykład o przyniesienie oliwy.

Trzeba przedewszystkiem zbadać, odpowiada owa gospodyni, zowiąca się *izbą* i *senatem*, czy żądanie stawionem jest odpowiednio do ducha czasu? Oliwa wlewaną jest do lampy dla oświetlenia, oświetla się jednak nie inaczéj tylko w nocy. Przedewszystkiem potrzeba zbadać porę czasu, czy jesteśmy w nocy czy pod czas dnia. W tym punkcie zawiązane rozprawy trwają czasem do rana, i przyniesiona oliwa w obec światła słonecznego staje się zupełnie nieużyteczną.

W dalszym ciągu sztuki zjawiają się na scenie inne kobiety, z których każda jest uosobieniem odmiennéj formy rządu. Autor ma nastręczoną sposobność wytknięcia wad i niedostatków dotychczasowego ustroju politycznego we wszystkich częściach kuli ziemskiéj. Z zadania dosyć obszernego wywiązał się zwycięzko, dając wielekrotnie dowody niepospolitego dowcipu.

POGADANKA.

Zima!!..

Żegnajcie więc lekkie niby puszek łabędzi i jak on okazałe mody wiosny i skwarnego lata... Spoglądano na was z zachwytem i podziwem, gdy przesuwałyście się wśród cienistych alei ogrodów saskiego i łazienkowskiego — ale dziś panowanie wasze już skończone...

Żegnajcie wesołe ptaszęta, co z gałązek drzew spozierając, chwaliłyście radosnym szczebiotem zgrabnie ułożone sploty sukienek i sploty... marzeń serduszek dziewiczych...

Żegnajcie słonka złote ożywcze promienie, przy których blasku sercu było raźniéj — duszy weseléj myśli jaśniéj i przestrzeniéj... żegnajcie do nowéj wiosny!...

Blade gwiazdki, pieśni słowicze, fantastyczna cisza letnich nocy — już was nie stało!...

Zima!!... Ona to śniegiem zasłała ziemię, otulając ją przed mrozem białemi chustami i układając martwą na długi spoczynek... Ona kazała wichrom świszczéć przeraźliwie, drzewkonarom kruszyć się i jęczéć żałośnie, gwiazdkom otulić się w miękką i grubą szarych chmur osłonę; ona spędziła z pól wrony, smutnie kraczące i wygrzebujące skwapliwie z pod śniegu szczodrą ręką przyrody porzucone ziarnka...

Niezgrabne kalosze, ciepłe salopki, grube okrywki, kożuszki i lśniące futerka śmieją się dziś z lekkich letnich strojów i... mają słuszność...

Zima!!... Wicher świszczy, mróz przejmuje do kości, ale ubrana ciepło, racz pofatygować się ze mną, Czytelniczko...

Nie obawiaj się, niedaleko cię poprowadzę, bo oto już na rogu ulicy, stary niewidomy, zgrabiałemi od zimna rękami wydobywa z katarynki akordy nabożnych pieśni, jak je wydobywał wśród lata... Ale dziś nie ma jak ty, ciepłego futerka, drży z zimna, a zmizerowana twarz skarży się cichym wyrazem nędzy, jak jego pieśń nabożna... Litości, litości — woła słabym drżącym głosem — czyż nie słyszysz?...

Czy uważałaś to okienko na poddaszu, w którem słabe światełko migoce nieraz do późnej nocy?... Po wązkich schodach racz wejść do ciasnéj i nizkiéj izdebki... Nie drżyj i nie obawiaj się, tam mieszkają uczciwi choć biedni... Patrz, przy stoliku z zaczerwienionemi od płaczu oczyma siedzi blade dziewczę, której jedynym sposobem zarobku i życia jest igła tylko.. Czy widzisz, jak w obumarłych od zimna palcach trzyma tę igłę — tylko igłę?...

Wczoraj oddała ostatnią robotę i nie przyniosła już więcéj... Chce pracować, bo chce żyć, bo żyć musi dla staréj i słabowitéj matki, która narzeka dziś na głód i zimno... Ty bawiłaś się wczoraj tak wesoło, a ona chce tylko żyć i pracować... Umierając prawie ze znużenia, i zgryzoty woła: pracy, pracy mi dajcie!...

Czyż jéj nie wysłuchasz?...

A tutaj, patrzaj!... W ciemnych wilgotnych suterynach matka kołysze na rękach zgłodniałe niemowlę... Ojciec na ławie siedząc w kącie izby, ponuro spogląda przed siebie, jakby szukał pracy, którą mu z ręki pierwsze już wytrąciły mrozy... Z obryzganéj wapnem jego sukni znać murarza...

Czy widzisz, jak z oblicza jego przegląda szczerość, ale zarazem i nieporadność... Patrz, poruszył się.. Może zawcześnie go osądziłem?... Może wydostanie kilka oszczędzonych złotówek na chleb dla matki i mleko dla dziecka?... Gdzietam!... Stał chwilkę w milczeniu i nie rzekłszy słowa wyniósł się z izby — jak zawsze!... O! ale matka pozostała... przytula dziecię do piersi, osłania je przed zimnem podartym fartuchem, śpiewa mu do snu łzawą piosenkę matki...

Czyż nie przejmuje cię do głębi piosnka zgłodniałych, śpiewana na nutę: litości, litości!...

A tam — czy widzisz całe grono malutkich, skulonych, smutnych i drżących z zimna?... W dzień zaduszny mieli za kim modlić się i płakać to sieroty... Starsza siostrzyczka ogrzewa przemarzłe rączęta młodszéj na swych własnych piersiach, a chłopczyna, choć nieletni, sam sobie już radzi zakładając dłoń za dłoń w rękawy wiotkiego surducika... Tylko małe niemowlę nie chce wyrozumieć doli dzisiejszéj i płaczem przyzywa: matki... ojca! Daremna prośba!

Czemu zadrżałaś?... Czemu odwracasz się i uciekasz z tych miejsc niedoli, wszak jeszcze nie wszystko widziałaś?...

Szukasz czegoś po kieszonkach futerka... nie znalazłaś i wracasz śpiesznie do domu...

Po co?...

A!... Mówisz, że jeźli litość i *jakakolwiekbądź* dobroczynność potrzebne są wśród lata, to *tysiąckrotnie więcéj* wśród ostréj zimy?...

O! jeźli tak mówisz, dzięki ci za to, Czytelniczko...

. . . .

Już to zaprawdę, rok ten cały przynosi nam ciągłe niespodzianki i katastrofy. U nas do tych smutnych wypadków, zaliczyć należy powszechny nieurodzaj na niektóre produkta rolne, a tem samem coraz więcéj wzmagającą się drożyznę pierwszych potrzeb wyżywienia. Gorzéj jeszcze gdzieindziéj. Zaledwie bowiem przebrzmiały pierwsze wieści o strasznéj powodzi w Hiszpanii, w okolicach Mursyi, Orihela i Alicante, gdzie liczba ofiar które życiem przypłaciły tę katastrofę, dochodzi do 6-ciu tysięcy, a straty materyalne wynoszą około 60 milionów franków, aż tu rozbiegła się wiadomość o strasznéj nędzy pomiędzy włościanami i dzierżawcami w Irlandyi. Daleko więcéj jednakże winno nas dotknąć rozpaczliwe położenie Szlązaków, naszych tak blizkich krewniaków, nad którymi widmo głodu wyciąga straszne, wyschłe ramiona. Klęska tam jest powszechna, a najbardziéj ciąży na biednym ludzie wiejskim, pozbawionym chleba i możności zarabiania na życie. Plony bowiem tegoroczne w większéj części téj ludnéj i kwitnącéj prowincyi wypadły gorzéj, niż przypuszczać mogli najskrajniejsi pessymiści. Ogólna nędza dochodzi do tego stopnia, że obywatele i włościanie sprzedają inwentarz, którego wyżywić nie są w stanie, a właściciele folwarków odprawiają czeladź, nie mogąc jéj utrzymać.

Obowiązkiem jest naszym pośpieszyć z czynną pomocą tym współbraciom, a choć sami nie jesteśmy bogaci, to jednakże los był dla nas jeszcze stokroć łaskawszy w tym roku, niż dla Szlązaków. To też słychać, że redaktorzy naszych pism codziennych naradzali się już wspólnie nad sposobami przyjścia z pomocą biednym mieszkańcom Szlązka i do ogłoszenia rezultatów narady oczekują tylko jeszcze na pozwolenie władzy, które niewątpliwie wkrótce nadejdzie.

. . . .

Jakby na zagłuszenie tych wszystkich smutnych wieści, niby odwrotna strona medalu — mamy obecnie koncert po koncercie i muzyka nie schodzi z estrady artystycznéj.

Mali i więksi, głośniejsi i mniéj głośni, zatrzymują się w naszem mieście obecnie, niby przelotne ptaki na odpoczynek w swojéj wędrówce: to tylko dziwna, że właśnie z południa i zachodu ciągną tutaj na północ i to do tego wśród zimy? Czyżby u nas tyle jeszcze ciepła być miało w sercach ludzkich?...

Z rodaków mieliśmy sposobność usłyszenia znakomitéj naszéj śpiewaczki p. Jakowickiéj, która bawiąc w kraju, gdzie według przysłowia: „człowiek rodzi się śpiewakiem,“ poczyniła ogromne, niezmierne postępy i w podziwienie wprawiła swych dawnych przyjaciół i wielbicieli. Daléj p. Maurycy

Moszkowski przedstawił nam się, jako nader sympatyczny artysta, a zarazem i kompozytor zdolny, rokujący najśmielsze nadzieje na przyszłość i zasługujący tem samem na uznanie i poparcie. Nakoniec wspomnieć wypada o pani Urazow, poprawnéj pianistce, która kilkakrotnie dała się słyszéć wykonywając utwory większych rozmiarów.

. . . .

W teatrze z nowych sztuk, to jest takich, które przecież *kiedyś* musiały być nowemi, obecnie *Wróble* świergoczą. Farsę tę (co prawda, pysznie graną obecnie z Żółkowskim na czele), widzieliśmy już i w Alhambrze i w Eldorado w lecie, ale nic znów tak dziwnego, a nawet należy się pochwała naszemu teatrowi, że wśród tak wczesnéj i ostréj zimy dał schronienie tym biednym ptakom... Pochwały też nie szczędzimy a tymczasem dzielimy się miłą wiadomością o powrocie marnotrawnéj córki p. Heleny Modrzejowskiéj. Wystąpi ona 20 razy na tutejszéj scenie, a między innemi i w „*Kleopatrze*“ Szekspira, które to dzieło, jeźli się nie mylimy, po raz pierwszy ujrzy światło kinkietów na polskiéj scenie. Pani Modrzejowska zacznie występy jak zwykle wszędzie, ulubioną swą rolą *Adrianny Lecouvreur*. Ma podobno zabobonny przesąd i wierzy weń mocno, że sztuka ta przynosi jéj szczęście. Wszystkie kaprysy wybaczają się zwykle wielkim ludziom i artystom, a pani M. tem chętniej z całego serca...

Jest jednakże kaprys, jeźli ten wypadek tak łaskawie nazwać się godzi nie u pani M. wcale, lecz w zarządzie teatrów. Oto, jak doniosło „*Echo*“ w tenże sam dzień, w którym ogłoszono abonament na występy pani M., tenże zamknięty został! To trochę za śpiesznie!... Zdaje nam się, że Dyrekcya powinna wejrzéć w tę sprawę, tem więcéj, że głoszono powszechnie o monopolu *jakimś*, który ktoś miał wszechwładnie dla siebie zagarnąć. Ile w tem prawdy, trudno dociec, to jednak pewna, że nikt z czytelników *Tygodnika* któryby naturalnie nie należał w pierwszéj chwili do wybranych, nie może już zamarzyć nawet o abonamencie, a przy znanem utrudnieniu w tutejszym teatrze w zdobywaniu sobie biletów, nawet o widzeniu Modrzejowskiéj.

. . . .

Oprócz stałych teatrów, dwa inne teatrzyki funkcyonują bardzo pomyślnie przez czas jesieni i zimy, dając przedstawienia swe co tydzień. Obydwu należy przede wszystkiem to poczytać za zasługę, że wystawiają oryginalne komedyjki i komedye naszych autorów dramatycznych. Mówimy tu o Teatrzyku Towarzystwa Dobroczynności i teatrzyku Granzowa, w którym się popisują uczniowie szkoły dramatycznéj p. Derynga. Szanowny weteran sztuki polskiéj bardzo starannie przykłada swą rękę do rozwoju i pomyślności tej instytucyi.

Amatorzy Tow. Dobr. błyszczą prawdziwie po artystycznemu i nie żałujmy fatygi do jego miluchnego teatrzyku, tem więcéj, że zabawa ta połączona jest z celem dobroczynnym. Odegrano dotychczas (kilkakrotnie powtarzając) cztery komedyjki: *Próba przedstawienia amatorskiego. Trzy domina* Fredry (syna), *Owoc zakazany* miluchną, wesołą a bezpretensyonalnie napisaną komedyjkę p. L. Niemojowskiego, a wreszcie *Stryj przyjechał* Koziebrodzkiego.

. . . .

Z prawdziwą radością, miłą wieścią dzielimy się ze wszystkimi, którym dobro i pożytek społeczeństwa, z jakiegokolwiekbądź źródła płynący, leży na sercu. Oto od nowego roku 1880 wychodzić będzie w Warszawie co tydzień w objętości jednego arkusza druku, z czterech kartek złożonego, z drzeworytami, tygodnik p. t. „*Opiekun domowych i pożytecznych zwierząt*. Sam tytuł mówi już wiele za sobą, a zarazem tłomaczy treść pisma, którego potrzeba od dawna już dawała się uczuwać, a które wielkie bardzo wielkie korzyści oddać może społeczeństwu. Godło mającego wychodzić pisma, opiewające że: „na wzór dobroczynnéj Opatrzności Bożéj dla całego stworzenia, bądźmy podobną opatrznością dla stworzeń od nas zależnych“ daje rękojmię dostateczną dla obywateli kraju, których zadaniem powinno być popieranie tego pisma i ułatwienie mu drogi do rąk włościan i kmiotków naszych.

O piśmie tem pomówimy jeszcze obszerniéj, a nazakończenie dzisiejszéj naszéj gawędy, wysypujemy z naszego koszyka wizytowego jeszcze kilka nowinek, zaznaczając je mimochodem.

W teatrzyku Granzowa rozpoczął znany komedyopisarz i redaktor „*Wieku*“ p. K. Zalewski, szereg wykładów „*o rozwoju komedyi nowoczesnéj*.“ Wykład, przeznaczony dla uczniów szkoły dramatycznéj, choć nie zamknięty i dla szerszéj publiczności, był bardzo jasny i starannie opracowany. Nie można jednak darować panu K. pobieżnego traktowania dawnych zabytków komedyi polskiéj. Wykład co niedzielę o 12 godzinie.

W salonach p. Ungra otwartą została wystawa obrazów, gdzie pomieszczono również wszystkie prace nieodżałowanéj pamięci zmarłego niedawno Maurycego Gotlieba. Wszystkich prac około 40, odznacza się szczególniéj „Chrystus w Kafarnaum.“ Wstęp nader przystępny, to też zaiste grzechem przeciwko sztuce Fidiasza byłoby nie odwiedzić tego ślicznego artystycznego salonu.

Znakomity nasz tragik Jan Królikowski wrócił na scenę warszawską. Publiczność przyjęła ulubionego syna Talii rzęsistemi oklaskami.

Coraz bardziéj w mieście naszem zaczynają się upowszechniać lampy naftowe bez szkieł przy knocie, z dwoma natomiast kloszami na sobie umieszczonemi, z których górny jest wysoko w górę wydłużony i wązki jego otwór stanowi kominek dla cugu, jaki dotąd szkła wewnętrzne dawały. Szczególniéj mogą one być użyteczne na wsi, gdzie w razie pęknięcia szkła, co często się zdarza, nie tak łatwo o nowe. Lampy te nie są wielką nowością, co do wynalazku, przed dwoma bowiem laty używane są w Wiedniu, z bardzo dobrym skutkiem.

W handlu księgarskim pojawiły się już rozliczne Kalendarze, ów zwykły podarunek gwiazdkowy. Wyszczególniają się Kalendarze „*Echa*,“ „*Zorzy*“ jako humorystyczny Kalendarz „*Muchy*,“ i znany powszechnie a pod firmą Józefa Ungra wychodzący od lat wielu.

LISTY Z MADRYTU.

(Ciąg dalszy).

Całość cyrku zaledwie można objąć okiem, jest to prawdziwie teatr urządzony dla całego ludu. Patrząc dokoła, pomyślałem sobie że podobny widok musiało przedstawiać kolizeum rzymskie, w dzień igrzysk ludowych. Cały plac otacza drewniana bariera, po za którą jest, w pewnym odstępie, druga daleko wyższa; w przejściu między niemi uwijają się posługacze cyrkowi; cieśle, ze swemi narzędziami w ręku, aby, w razie uszkodzenia przez byka, mogli natychmiast naprawić barierę; przekupnie pomarańcz i cukru owsianego. U stóp wielkiéj bariery wznosi się rząd gradusów kamiennych, a wyżéj po nad nim loże. Pod lożami ciągnie się galerya, z potrójnym szeregiem siedzeń, Z miejsc tych najlepiéj widzieć można wszystko, ale moda nie dozwala arystokracyi je zajmować. Loże obejmują po 15 do 20 miejsc; królewska tworzy wielki salon; obok niéj znajduje się loża municypalności i syndyka stolicy.

Cyrk zapełnił się niebawem, wszyscy cisną się, tłoczą, popychają, śmieją i witają. Cały ten różnobarwny tłum miotany jest widocznie jakąś niespokojną ciekawością, poprzedzającą zwykle wydarzenia w których życie ludzkie jest w niebezpieczeństwie. W lożach mijają się białe i czarne mantyle, i jedne od drugiéj piękniejsze twarzyczki; w oczach wszystkich błyszczy zadowolnienie i radość. Nakoniec dwór. który chwilę zatrzymał się w korytarzu, ukazał się w swéj loży.

Dano znak do rozpoczęcia widowiska. Zagrzmiały trąby i rogi. Czterech jeźdźców w czarnych płaszczach i w kapeluszach z piórami, wjechało bramą będącą pod lożą królewską i powoli dokoła objechali arenę; poczem uszykowawszy się po dwóch, zatrzymali się przed zamkniętą bramą, naprzeciw loży królewskiéj. Kilkunastotysięczny tłum widzów patrzy zatrzymując oddech, głęboka zapanowała cisza. Bramą tą ma wyjść *cuadrilla* to jest wszyscy przyjmujący udział w igrzyskach. I oto defilują: wszyscy *toreros'i* w galowym stroju, oddając pokłon królowi, dygnitarzom, widzom. Dokoła rozlegają się dźwięki głośnéj orkiestry. Wywołują po nazwisku najsłynniejszych *espadas* Frascuelo i Lagertijo. którzy przesuwają się w pięknym andaluzyjskim stroju. Za nimi postępują *banderileros* i *capeadores* daléj *picadores* konno, z długiemi lancami w ręku, w szarych kapeluszach z szerokiemi rondami, w pantalionach z żółtéj bawoléj skóry, podbitych blaszką żelazną, a nareszcie *chulos'i*. Cały ten orszak majestatycznie miarowym krokiem objeżdża arenę, zmierzając ku loży królewskiéj. Defilada ta przedstawia się nader malowniczo; wszyscy należący do niéj, przybrani strojnie z wschodnim przepychem, są silni, kształtni, przystojni; przypominają starożytnych gladiatorów przed lożą monarszą.

Wysuwa się woźny ubrany w czarny strój średniowieczny, na wspaniałym andaluzyjskim wierzchowcu, zatrzymuje się przed lożą gubernatora Madrytu, i zdejmując kapelusz strojny różnobarwnemi piórami, prosi o klucz od budki w któréj zamknięte są byki mające wystąpić do walki.

Defilada *cuadrilli* stanowi według mnie najwięcéj zajmującą część widowiska; jak już wspomniałem w skład jéj wchodzą wszyscy mający przyjąć udział w tym krwawym dramacie. *Espadas* jest to ten który szpadą zadaje bykowi cios śmiertelny. *Banderileros* godzi w niego dzirytem, rozpalonym do czerwoności jeźli byk się cofa chroniąc się przed napaścią. *Chulos'i* swemi jaskrawemi płaszczami, stosownie do potrzeby zwracają lub odwracają uwagę byków. *Picadores* podbudza, drażni, kole byka i rozpoczyna straszną walkę. Po za *cuedrilla* postępują *mulillas* z osiodłanemi mułami, które wyciągają z areny zabite byki i rozpłatane konie.

Z prawéj strony *torilli* (budki w któréj zamknięty jest byk) stoją uszykowani *picaderosi* a daléj, w półkole wszyscy *chulos'i* ze swemi płaszczami a raczéj kapami pod pachami.

Najuroczystszą jest chwila w któréj otwierają się drzwi *torilli* i wychodzi z niéj ogłupiały i jakby zafukany, zwierz z groźnemi rogami, z grubym karkiem, z wielkiemi głębokiemi oczami. Każdy widz stara się odgadnąć jego usposobienie: czy będzie

spokojny czy rozjuszony, otwarty czy podstępny, słowem jaki rodzaj walki stoczyć z nim przyjdzie.

Wysuwa się naprzeciw niemu konno dwóch *picadores'ów* i ci zaczynają drażnić go i wyzywać, wtedy dopiero byk zaczyna objawiać swoje usposobienie. Najczęściéj rzuca się na pierwszego konia i rogami zadaje mu ranę, często śmiertelną. Jeźli jeździec nie jest raniony, przesiada się na innego konia i daléj prowadzi walkę. Dla prawdziwych dylletantów, rany a nawet śmierć tych biednych koni żadnego nie przedstawiają zajęcia—są to ofiary przeznaczone na tak smutną dolę—dla cudzoziemców nie zahartowanych nawyknieniem, jest to tak wstrętne i dzikie barbarzyństwo, iż niewysłowioną budzi odrazę i zgrozę.

Jeźli *picadores'om* grozi niebezpieczeństwo, wtedy *chulosi* odwracają uwagę byka, machając swemi jaskrawemi różnych kolorów kapami, a że zwierz biegnie zawsze wprost przed siebie, odskakując na bok unikają ciosu. Niektórzy jednak, zamiast odskoczyć, z szaloną śmiałością, przyklękają na jedno kolano i zwracając głowę ku rozdrażnionemu zwierzęciu, oczekują go spokojni i nieruchomi.

Wtedy wybiegają *banderillos'i*, dźgają byka żelaznemi drągami, a ten z bólu ryczy, kopie ziemię, podnosi tumany kurzu, wstrząsając z wściekłością zakrwawioną skórą.

Nie można nie podziwiać odwagi tych ludzi młodych, zręcznych, igrających ciągle ze śmiercią, z uśmiechem na ustach. Nieraz bowiem zdarza się że rozwścieczone zwierzę obali którego z nich między rozpłatane konie, zgniecie kopytami żebra, lub przebije rogami wnętrzności—ale właśnie odrażające te szczegóły są uwieńczeniem tych dzikich zabaw.

Skończył się akt drugi, odgłos trąbki zapowiada trzeci, śmierć byka.

Espada staje przed lożą gubernatora, prosząc o pozwolenie zabicia byka. Poczem, sam jeden zostaje na placu; lewą ręką trzyma czerwoną chorągiew, prawą długą, doskonale zahartowaną szpadę. Wolnym, miarowym krokiem zwraca się ku loży królewskiéj, zatrzymuje się, zdejmuje *montora* z głowy, śmiałym rzutem ciskając ją po za siebie, poczem idzie wprost naprzeciw zwierza. Widząc to znużony byk zaczyna się pienić; oczy jego patrzą nieruchomie, nogi drżą pod nim—zdaje się przeczuwać bliski swój koniec. Oczy wszystkich widzów utkwione są w tego człowieka, nie wahającego się zmierzyć z rozhukanym zwierzem, który wściekły z bólu, gotów jest do ostatnich wysileń w obronie swojego życia. Z niezrównaną odwagą, pewny swéj siły i zręczności *espada* mierzy i aż po rękojeść topi swą szpadę poniżéj łopatki. Wtedy szałem jakimś uniesieni widzowie, podnoszą ręce w górę, klaszczą w dłonie, krzyczą, jakąś niepojętą, homeryczną objawiając radość. Rzucają matadorowi swoje kapelusze i cygara; wszyscy powstają upojeni—a jednocześnie zwierz zachwiał się, osłabł, nogi zgięły się pod nim i pada układając się jakby do snu. *Cahetero* dobija go ostatnim ciosem, muzyka zaczyna grać, a muły w jednem mgnieniu oka uprzątają z areny pokonane zwierzę.

Dramat skończony, a tryumfujący *espada* podnosi swoją *montera* wśród frenetycznych bravo rozszalałych radością widzów. Po usunięciu zabitego byka walka rozpoczyna się z innym, i tak powtarza się zwykle sześć do ośmiu razy. Oto jak się odbywają owe słynne walki byków, zwane w Hiszpanii *corrida de toros*.

Niedość jest zadać bykowi cios śmiertelny, trzeba jeszcze zabić go według reguł *sztuki*. Espada powinien ugodzić w jedno przepisane miejsce, inaczéj nie jest mistrzem i byk źle jest zabity. Wiedzą o tem widzowie i dlatego zatrzymując oddech, nie spuszczają oka w chwili gdy zwierz spuściwszy łeb zamierza rzucić się na przeciwnika, a ten, ze wzrokiem utkwionym w oznaczone miejsce, wpycha mu szpadę w samo serce.

Dawniéj wyprawiano w Hiszpanii walki byków ze zwierzętami mięsożernemi: dziś rzadko bardzo je wznawiają, jednakże przed paru laty podobna walka odbyła się w cyrku Madryckim. Najpierw wypuszczono lwa; jak tylko zobaczył byka, rzucił się na niego—ale ten silnem uderzeniem łba bez ceremonii odrzucił daleko króla zwierząt któremu i drugie natarcie nie lepiéj się powiodło. Zawstydzony porażką, lew przysiadł na piasku, trzymając się już tylko obronnie. Wypuszczono tygrysa; lew rzucił się ku niemu, ale spoliczkowany łapą, cofnął się z pola walki. Byk, lew i tygrys, patrzeli tylko na siebie nie śmiejąc się zbliżyć—wtedy wpuszczono do areny dwudziestu ośmiu brytanów. Psy przycisnęły się do kraty i zamiast walki przybyło 28 widzów.

Ciekawy był dopiero widok walki byka z ogromnym słoniem. Podżegnięty byk chciał się rzucić na olbrzyma, ale ten pochwycił go trąbą i odrzucił o dziesięć metrów a następnie jakby nie chcąc poprzestać na żartach, rzucił się na niego i zgniótł na miazgę.

Słoń ten był nadzwyczaj silny; dozorca jego musiał zawsze przywiązywać mu nogi do czterech mocnych słupków. Pomimo to raz zerwał krępujące go więzy, wyłamał klatkę i wypadł na miasto. Wszedł sobie bez ceremonii do sklepu piekarza, zjadł wszystek będący tam chleb, a że zobaczywszy w wiszących na ścianach lustrach wierne swoje odbicie: widać niezadowolniony z niego, potłukł je wszystkie.

Wielkie walki byków rozpoczynają się na Wielkanoc a kończą w jesieni; w ciągu téj przerwy odbywają się mniejsze, także licznie uczęszczane, pomimo ostréj pory roku jakoteż że najpierwsi „mistrze" popisują się wówczas w prowincyach południowych.

Te małe walki pod wielu względami różnią się od wielkich. Byki bywają młodsze i w połowie ich przynajmniéj obwijają rogi aby były nieszkodliwe, co jednak nie zawsze zapobiega niebezpieczeństwu, bo i w takich walkach nieraz ludzie śmierć ponoszą.

Widowisko rozpoczyna *tauromachiczna pantomina*, w któréj nie skąpią prac, fajerwerków i śmiesznie dziwacznych przebrań. Widzowie składają się z najprzeróżniéjszéj zbieraniny, krzyczą, wrzeszczą, popychają się, kułakują—gwar i wrzask nie do opisania. Zgłaszają się amatorowie żądający przeskoczyć byka. Dają im bardzo długą tykę i w chwili gdy podrażnione zwierzę zwraca się na nich, przeskakują przez niego.

Jeźli *nowilloso'wie* są niezręczni, publiczność wstaje, złości się, klnie, odgraża, wrzeszczy: „*Fuera! fuera!* (Precz, za drzwi). W takich razach kobiety prześcigają mężczyzn, już nie wrzeszczą ale wyją i rzucają na plac co mają pod ręką. Nietylko novillos ale sam byk staje zmieszany, spoglądając dokoła ogłupiałym wzrokiem; korzystając z tego wbijają w niego piorunujące *banderillas* które go ogłuszają i palą skórę. Rozszalały z bólu ryczy i miota się wściekle: raz zdarzyło się że tak rozhukany byk przeskoczył obiedwie bariery oddzielające arenę od widzów, i wściekły wpadł na stopnie. Na szczęście obecni gwardziści narodowi mieli broń i zabili go bagnetami.

Jeźli *espada* nie ma dość odwagi albo zręczności aby pokonać byka, publiczność gwiżdże, wrzeszczy, wymyśla mu, znieważa i woła: *Fuera! fuera!* spada na niego grad różnych pocisków, przekleństw, grożą mu zaciśniętemi pięściami. Wtedy nie pozostaje jak uciec się do *pół-księżyca*, jest to narzędzie stalowe nadzwyczaj ostre, kształt jego wskazuje sama nazwa. Podstawiają je na drodze rozpędzonemu bykowi, i biedne zwierzę traci nogę. Straszne to, dzikie i wstrętne...

Parę razy do roku wyprawiają kursa dziecinne; przedstawiają się one tak jak gdyby ktoś patrzył na zwykłe przez szkło znacznie pomniejszające. Zamiast byków występują cielęta, zamiast mężczyzn ukostiumowane podrostki. Śmieszny jest widok tych małych cudaków, najpierw wpadających co chwila do przygotowanych schronień, potem ośmielających się zwolna i ścigających młode zwierzę, które biorąc to za igraszkę przebiega z jednéj strony na drugą, podczas gdy nauczyciel podnieca odwagę małych uczni i zachęca do walki.

(d. n.)

Przyjaciela Dzieci Nr. 49 wyszedł z druku i zawiera:

Do Czytelników. — Jezioro Loch Katring (z drzeworytem). — Utrapienia chińczyka w Chinach. — Opowiadania historyczne. W Dodatku: W zagrodzie karbowniczki (z drzeworytem). — Co ja wolę (wiersz). — Przygody Zygmusia. — Leniwiec (z drzew). Balonik Stasia.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).*

Tygodnika Rolniczego Nr. 48 wyszedł z druku i zawiera:

Z Praktyki Gospodarczéj. — Przegląd weterynaryjny — Przegląd pism rolniczych zagranicznych. O żywopłotach z róży szkockiéj. O wyniszczeniu sporyszu w życie. O użyciu cukrowych buraków na gorzelnię. O ogrodach, owocach i produkcyi wina w Bośni. — Kronika rolnicza. — Wiadomości krajowe i handlowe.

Prenumerata wynosi:

w Warszawie, kwartalnie rs. 1 kop. 20.

na Prowincyi, „ rs. 1 kop. 50.

Adres: Do Redakcyi ***Tygodnika Rolniczego*** *w Warszawie, Ulica Chmielna N. 1530 (20).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami, oraz dla prenumeratorów na prowincyi: Prospekt Bibljoteki najcelniejszych utworów literat. europejskiéj i Katalog dzieł M. Orgelbranda.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 20 Ноября 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 49 r. 1879.

KRZYŻ W MOUGUERRE.

PRZEZ

panią Klarę de Chandeneux

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

Wszystko to nie bardzo zadawalniało siostrę proboszcza, a potem nie ma aksamitnego klęcznika, i jakżesz można posadzić oblubieńców podczas mszy ślubnéj na prostych ławkach lub stołkach drewnianych?

— Jakże było, rzekła Gracioza, gdy J. E. ksiądz biskup, przybył tu udzielić Sakramentu Bierzmowania?

To zapytanie przypomniało siostrze proboszcza że mają duży dość świeży jeszcze dywan i dwie aksamitne poduszki, któremi posługiwano się podczas ostatniéj bytności biskupa. Uściskała Graciozę za dobrą radę i spokój wrócił pod cichy dach plebanii.

Pani de Vambry i margrabina nadzwyczaj gorliwie zajmowały się wyprawą, toaletą ślubną i tak zwanym *corbille de mariage*, obejmującym podarunki od pana młodego i jego matki. Ponieważ pani de Vambry nie mogła współzawodniczyć z przepychem i zbytkiem podarków pani de Fouzolle, starała się przynajmniéj dorównać jéj gusten i trafnością pomysłów.

Marya Anna spoglądała z rozrzewnieniem na dziewiczy swój ubiór ślubny, modląc się w duszy aby w nim wydała się ładniejszą: natomiast mało ją zajmowały stosy bogatych materyj, haftów, batystów i koronek. Cóż to wszystko mogło obchodzić szczęśliwe dziewczę kochające z całéj duszy wybranego dla niéj męża i wierzące w jego miłość?. Ona wraz z ręką oddała i serce i ani w myśli jéj nie powstało że w zamian dają jéj tylko samo nazwisko.

Wprawdzie czuła to że więcéj daje niż odbiera; Stefan nie powiedział jéj nigdy ani jednego czułego słówka, ale przypisywała to może zbyt przesadzonéj jego delikatności i spodziewała się że wynagrodzi jej to po ślubie. Nie była to próżność albo zarozumienie, ale ufność i naiwność.

— Będę dla niego tak dobrą, tak nieograniczenie poświęconą i tak kochającą, myślała sobie, iż zmuszę go tem aby mnie tak kochał jak ja jego. Zapomni że nie jestem ładną, widząc jak gorąco pragnę zadowolnić go we wszystkiem, odgadywać najprzelotniejsze jego życzenia. Wtedy zamiast na twarz spojrzy w moje serce, stokroć więcéj warte od oblicza.

Miesiąc szczęścia zamienił tę posępną i zgnębioną istotę, w spokojną i łagodną dziewicę, ożywioną błogiej przyszłości nadzieją, i gdyby Stefan chciał wniknąć w jej duszę, może zachwyciłaby go anielska jéj czystość. Ale on nie szukał w małżeństwie swojem upojenia ani rozkoszy ale jedynie spokoju jaki dać może sumienne spełnienie ciężkiego obowiązku.

W przeddzień ślubu odebrał za pośrednictwem dowodzącego brygadą jego jenerała, rozkaz z ministerstwa wojny który czytając osłupiał.

W chwili gdy komissya złożona z wyższych oficerów artyleryi, miała już odpłynąć do Rhode-Island aby obserwować rezultaty prób odbywanych z nowo wynalezionemi działami amerykańskiemi bajecznéj doniosłości, przewodniczący w tejże komissyi uznał stosownem, oprócz już wyznaczonego, drugiego jeszcze dodać sprawozdawcę. Minister wyznaczył porucznika de Vambry, polecając aby natychmiast jak najkrótszą drogą udał się do Hawru, skąd odpłynąć miał parowiec *Sekwana*. Jenerał, będący wielkim przyjacielem pani de Vambry, nadmienił od siebie że pochlebny ten wybór piękną wróży przyszłość młodemu oficerowi, co powinno pocieszać i matkę i młodą żonę z powodu tak nagłego rozłączenia.

— Czy tylko dadzą mi czas wziąść ślub? pomyślał młody oficer, i serce jego szybciéj bić zaczęło.

Ale jak tu zwiastować tę wiadomość Maryi Annie. Nie znając nieubłaganéj karności wojskowéj, czyż będzie mogła pojąć że niepodobna uwolnić się lub choćby postarać o opóźnienie wyjazdu? Czyż nie poczyta tego za chęć oderwania się od życia rodzinnego narzuconego sobie?... a może nawet posądzi go...

Nie śmiał dokończyć, a w umyśle jego lotem błyskawicy przesunęła się myśl, że gdyby rozkaz ten nadszedł był dwa tygodnie albo choćby tydzień wcześniéj, byłby mu może wrócił wolność.

Pani de Vambry zalała się łzami przeczytawszy ten rozkaz; nadzieja awansu nie pocieszała ją tyle, aby dać zapomnieć że na długo może musi rozłączyć się z synem.

— Co powie Marya Anna? rzekła po chwili; będziesz zmuszony ją opuścić...

— Tak matko, i to niezwłocznie.

— Kiedyż?

— Najdaléj za dwa lub trzy dni.

— Ależ to niepodobieństwo!

— Nie ma niepodobieństwa dla wojskowego gdy chodzi o spełnienie rozkazu.

— Trzeba jak najostrożniéj zawiadomić Maryę Annę; tak nagłe wzruszenie mogłoby nader zgubnie oddziałać na jéj zdrowie.

— Myślałem już o tem.

— Lecz czy potrafisz przekonać to tak kochające cię dziewczę, że jest władza mająca prawo rozłączać cię z nią w parę dni po ślubie?

— Wszak mówiłaś sama, matko, że Marya Anna pokłada we mnie nieograniczoną ufność?

— Idź więc do niéj, mój synu; biedna bardzo, będzie cierpiéć, ale nie więcéj odemnie.

Marya Anna była w parku w towarzystwie Graciozy, zajętéj przystrojeniem kiosku w którym miano zastawić śniadanie. Wierna wspomnieniom, polubiła bardzo to malownicze ustronie, w którem siedziała ze Stefanem w dniu w którym została jego narzeczoną.

Gracioza posiadała szczególny dar urządzania sielskich przystrojeń, ozdobienie kiosku było oryginalne i nowe. Składało się głównie z wielkich bukietów ułożonych z białych polnych i górskich kwiatów, z pośród których wyskakiwały jak ogniste płomienie, czerwone kiście gladiolusów. Piękna góralka znająca tak dobrze własności kwiatów, musiała znać także ich język. Stefan go nie rozumiał, uderzył go jednak wybór kwiatów, tak rażąco odbijających jedne od drugich.

Od czasu owéj krótkiéj rozmowy, młody oficer i Gracioza widywali się tylko przy świadkach; widząc go wchodzącego do kiosku, Baskijka, jak zwykle, chciała się oddalić. Stefan nie pozostawił jéj na to czasu, pozdrowił ją poważnym uśmiechem, podał rękę zadziwionéj Maryi Annie i wyszedł z nią z kiosku.

— Czy masz pan powiedzieć mi coś tak tajemniczego? zapytała spoglądającna niego z miłym uśmiechem.

— To co mam powiedzieć wymaga aby Marya Anna słuchała mnie rozważnie i z zastanowieniem.

— Będę się starać być tak poważną jak nasz porcelanowy Chińczyk.

— Maryo Anno, wiesz że zawód mój jest mi drogim... lecz czy sądzisz że jest mi droższym nad szczęście twoje?

— Tego nie przypuszczam.

— I masz zupełną słuszność. Więc wiesz jak bym postąpił gdyby mi przyszło wybierać jedno z dwojga?

— Tak sądzę.

— A gdyby mi przyszło wybierać między tobą a tem co nakazuje mi honor wojskowy?

— O! taka okoliczność nie zachodzi przecież, zawołała blednąc.

Uścisnął jéj rękę i rzekł ze szczerem wzruszeniem;

— Przeciwnie, dobra moja Maryo Anno.

— O cóż chodzi? powiedz mi pan wszystko... zdobędę się na odwagę aby całą usłyszeć prawdę.

I zachwiawszy się, silniéj wsparła się na jego ramieniu.

— Jutro poprowadzę cię do ołtarza, a za dwa dni... może nawet pojutrze... muszę cię opuścić, posłuszny rozkazowi z którego spełnieniem wojskowemu wahać się nie wolno.

— Czy na długo? szepnęła drżąc cała.

— Sam nie wiem.

— Czy nieobecność ta potrwa dnie... tygodnie... czy miesiące?

— Mam odpłynąć do Ameryki aby być świadkiem próby działa nowo wynalezionego, o którem tyle piszą w gazetach.

— A więc to potrwa kilka miesięcy, odrzekła z ciężkiem westchnieniem.

Była to boleść nad siły; zakryła twarz drżącemi rękami i głośnym wybuchnęła płaczem. Stefan zmięszany i niezadowolniony zarazem, starał się uspokoić tę wątłą istotę. Przekładał jéj że rozkazy władzy wojskowéj są nieubłagane, i gdyby tylko najmniéj ociągał się z ich spełnieniem, tem samem naraziłby swój honor wojskowy i zwichnął całą przyszłość.

Słuchała, uważając tłomaczenie się jego za zbyteczne; wierzyła ślepo jego słowom, ale cierpiała niewymownie. Obfite łzy spływały po jéj zbladłéj

jeszcze twarzyczce, gdy w tem na zakręcie alei spotkali Graciozę niosącą ogromną wiązankę świeżo zerwanych gladiolusów. Szła ze spuszczonemi oczami, i gdyby nie obiło się o jéj uszy głośne łkanie jakie wydarło się z piersi Maryi Anny, byłaby nawet nie spojrzała na parę narzeczonych. Łzy téj wątłéj istoty poruszyły ją do głębi duszy... płacze w przeddzień szczęścia swego. cóż jéj się stało?

Zapomniawszy o własnych uczuciach i zwykłéj przezorności swojéj, rzekła cierpko do Stefana:

— Co pan powiedziałeś biednemu dziecku?... czy zapominasz że jest chora... że wysilam wolę i doświadczenie moje aby jéj wrócić zdrowie?... Jéj trzeba spokoju i radości a pan łzy wyciskasz z jéj oczu!... Ja cudów niemal dokonywam aby jéj zapewnić szczęście... a pan, nie zastanawiając się nad tem, zniweczysz moje usiłowania!...

— Graciozo! zawołała błagalnie Marya Anna, przerażona gwałtownością jéj mowy.

— Jutro od niego już tylko zależyć będziesz, dziś jeszcze należysz do mnie; mam prawo stawać w twéj obronie..! Nie chcę aby cię dręczono i przeszkadzano mi cię ocalić.

— Mylisz się, Graciozo, przykrość jaką mimowolnie wyrządziłem pannie de Fouzolle była nieunikniona, rzekł Stefan.

Ruchem okazała niedowierzanie, i rzekła cierpkim; urywanym głosem:

— I cóż to takiego byłeś pan nieodwołalnie zmuszony jéj powiedziéć?... Ale co mi tam, nie chcę o to pytać, cóż mnie mogą obchodzić pana uczucia i powody?.. mnie chodzi tylko o spokój Maryi Anny, i tego wymagam!

— Graciozo Irribery, rzekł poważnie Stefan, tak ważną odegrałaś rolę w wypadkach poprzedzających zamąż-pójście panny de Fouzolle, iż pozyskałaś wszelkie prawo do jéj życzliwości i wdzięczności mojéj, dowiedz się więc co jest powodem łez ukochanéj twojéj pacientki.

I powiedział jéj w kilku słowach co obszerniéj przełożył Maryi Annie, która ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, chciała okazać że umie być odważną i rzekła z anielską słodyczą:

— Rozumiem cię, panie de Vambry, jest to pierwsza próba jakiéj twój zawód wojskowy nakazuje mi się poddać i potrafię ją przebyć.

Gracioza wzruszyła ramionami zarazem z gniewem i z litością; aksamitne jéj źrenice zapłonęły.

— Ja przeciwnie, rzekła namiętnie, nie rozumiem i pojąć nie mogę aby jakikolwiek rozkaz mógł rozdzielać męża z żoną, i na drugi dzień po ślubie wyprawiać go gdzie na skraj świata... Mówisz pan że to jest niezbędnem?... pierwszą, najniezbędniejszą rzeczą w małżeństwie jest miłość... a kto kocha ten się nie rozłącza.

— A! gdybyż dozwolono mi jechać! zawołała żywo Marya Anna.

— A któżby mógł oskarżać ciebie, Maryo Anno, odrzekła Gracioza ze szczególniejszym współczuciem i litością; ty jesteś miłością... a pan de Vambry jest zdaje się prawem.

— Czyż nie wiesz, nieposkromiona Baskijko, rzekł z uśmiechem mocno zmięszany Stefan, że prawo jest rzeczą świętą.

— Tak święte są prawa jakie Bóg nadał małżeństu, ale nie te które ludzie wymyślają dla swoich widoków.

— Graciozo, nie osłabiaj odwagi twojéj pacientki i przyjaciółki.

— Wielka kwestya czy odwaga zależy na poddaniu się lub odrzuceniu wymagań pana.

— Prawo które potępiasz nie rozumiejąc, nakazuje mi jechać i pojadę, odrzekł Stefan unosząc się nieco.

— Depcze się podobne prawa jeźli serce i uczucie przewyższa żądzę wyniesienia.

Zarzut ten spadł kamieniem na wzburzone serce młodego oficera; pragnąc gorąco szczęścia swojéj choréj, Gracioza posunęła się za daleko.

— Depcząc prawo które szanować należy, można stać się tem czem stał się Jan Berette, odrzekł zimno Stefan; czyż byłoby to z twojéj namowy, Graciozo Irribery!

I odszedł pociągając zwolna za sobą Maryę Annę, nie spojrzawszy nawet na Graciozę, jak gdyby cała gorycz i żale nagromadzone w jego sercuześrodkowały się w tem nienawistnem nazwisku: Jan Berette.

Gracioza stała jakby rażona gromem. Cóż takiego powiedziała aby ściągnąć na siebie tak dotkliwą i bolesną wymówkę? Co spowodowało jéj tak gwałtowne uniesienie?... Czyż wywołało go samo tylko, tak wątpliwe szczęście Maryi Anny? czy przeciwnie nie dość stłumione w sercu uczucia i wrażenia, odzywały się pokryte płaszczykiem cudzego interesu.

Palące łzy popłynęły z jéj oczu

— O! ja nieszczęsna, nieszczęsna... wyjąkała biegnąc ku domowi, wola jest szczera... ale serce słabe.

Wszedłszy do domku swego, zamknęła drzwi i gwałtownym zaniosła się płaczem; niktby nie przypuścił aby zahartowany i wyniosły jéj charakter mógł być do niego zdolnym.

I długo, długo tak płakała w łzach szukając ulgi. Czyż podobna być zawsze nieprzystępną, zimną, zawsze zarówno nieprzeparty stawiać opór coraz silniéj wzbierającemu uczuciu?... Czy podobna zawsze równie gorliwie pragnąć i pracować dla szczęścia kogoś co nam wydziera nasze?... Czyż nareszcie nie przyjdzie chwila że serce wybuchnie i dopomni się o swoje prawa?...

Tak było z Graciozą, choć była to natura dzielna i nieugięta.

Od pierwszego spotkania z młodym oficerem, uczuła że bohater gór blednie obok pięknego nieznajomego, i od owéj zaraz chwili uzbroiła swe serce pancerzem wyniosłéj obojętności. Zanadto była prawą i szlachetną aby będąc narzeczoną Jana Berette'a miała oddać się innemu; więc spostrzegłszy że jéj uczucie dla towarzysza lat dziecinnych, że podziw jaki obudzała jego zuchwała śmiałość i odwaga przemytnika, nie zdołają zapanować nad wrażeniem jakie wywiera na nią młody oficer, postanowiła pracować całą siłą woli i wiedzy swojéj nad wzmocnieniem dzielącéj ich zapory.

Nie dość że go unikała, pragnęła jeszcze aby został mężem innéj; wrócić zdrowie téj bogatéj, wysokiego rodu dziewczynie, zazdroszczącéj biednéj góralce jéj siły i czerstwości, było to zadanie nęcące tę romantyczną i prawą naturę. Jakoż zdrowie Maryi Anny znacznie się polepszało, a małżeństwo nie ulegało już wątpliwości; jutro miała zostać panią de Vambry.

Tego właśnie pragnęła Gracioza, dopomagała do tego o ile było w jéj mocy, mniemając że cieszy się z dojścia zamierzonego celu. Wkrótce, myślała sobie, młode małżeństwo, w znacznéj części zawdzięczające jéj swe szczęście, oddali się błogosławiąc ją —przynajmniéj Marya Anna—a i on może domyśli się nieco prawdy i większy uczuje dla niej szacunek.

Nie znając obowiązków ani praw wojskowych, posądzała Stefana że ucieka się do podstępu aby co prędzéj odzyskać wolność którą z takim żalem poświęcał, albo nawet zupełnie wycofać się w ostatniéj chwili od zawarcia niemiłego związku. I serce jéj wezbrało niechęcią i żalem pod wpływem gwałtownych tajonych wzruszeń, i w uniesieniu przemówiła za gorąco i za namiętnie, nie pomnąc że może się tem zdradzić. Dumna góralka nader dotkliwie uczuła winę swoją i czuła się nią zawstydzoną. Przez cały wieczór nie pokazała się w pałacu. Margrabina posłała po nią prosząc aby przyszła dopomódz do ostatnich przygotowań, ale posłaniec wrócił oznajmiając że domek Graciozy zamknięty i tylko biała koza beczy na progu.

— Przyjdzie jutro, rzekła Marya Anna, kochana moja lekarka wie o tem że powinna być obecną na ślubie swej wdzięcznéj pacientki.

XVII.

W dzień ślubu Maryi Anny i Stefana, przed świtem jeszcze, mężczyzna jakiś przybywający jak widać z daleka, zasztukał do drzwi domku dozorcy śluz. Był to właśnie Jan Berette. Zastał drzwi mocno zaryglowane, gdyż od lat trzech jak odbywał wycieczki w góry, matka jego, Benedykta Berette, miała ważne powody aby byle kogoś nie dopuszczać do wnętrza.

Najpierw, wiedziano że nie jest bez grosza, a że często zostawała sama, mógłby pokusić się o jéj mienie jakiś hultaj, przekładający cudze pieniądze nad uczciwą pracę. Dalej zgubne rzemiosło jakiem syn jéj się zajmował, narażało go na rozliczne niebezpieczeństwa, do których zaliczała się także ciekawość i wielomówność sąsiadów.

Ukrywała że Jan odniósł dość ciężką ranę w zajściu ze strażą nadgraniczną, z któréj wyleczyła go szczęśliwie Gracioza, aby go nie pociągnięto do śledztwa i odpowiedzialności sądowéj. W zajściu tem strażnik jeden został zabity, a ślad krwawy jaki żandarmi wyśledzili w górach, i część ubrania znaleziona na miejscu walki, dowodziły że winowajca czy wspólnik jego ratował się ucieczką.

Jednak dzięki przezorności Jana Berette i sile staréj jego matki, która z pomocą Elissalda kilka dni zastępowała go przy śluzach, a szczególniéj dzięki niezmordowanéj troskliwości dzielnéj Baskijki, co noc przebywającéj długą drogę aby opatrywać ranę narzeczonego, mógł on prędko powstać z łóżka, a broniony milczeniem podziwiających jego śmiałość górali, nie był pociągnięty do śledztwa.

I to więc uszło mu bezkarnie jak zdradziecki cios zadany panu de Vambry.

Dnia tego Jan Berette wracał znowu z przemytniczéj wyprawy. Matka poznawszy jego sposób pukania, otworzyła zaraz łając:

— Po cóż wracasz gdy już dzień zaświtał? czyż nie lepiéj było czekać aż noc zapadnie?

— To darmo, matko, odrzekł wyjmując z trzosa garść pięcio-frankówek, musiałem przybyć tu wcześnie. Oto masz pieniądze.

— Czy tym razem nic złego ci się nie wydarzyło?

— Nic a nic; wąwóz jest teraz daleko dostępniejszy dla nas, od czasu jak strażnicy przekonali się że niebezpieczny jest dla nich.

I piękny góral z niebieskiemi oczami wypowiedział jak najspokojniéj tę wzmiankę o zabiciu strażnika, poczem przesunął ręką po bujnych blond włosach i pokręcił wąsa z właściwą góralom zalotnością.

Benedykta Berette rozpaliła ogień aby wysuszyć co prędzéj jego rosą zwilżoną odzież.

— Daj temu pokój, matko, suknie i tak wyschną; proszę daj mi strój niedzielny i czystą bieliznę.

— Strój niedzielny! a toż na co?... przecie dziś czwartek.

— To nic nie znaczy: wydostań go, matko, a nie zapomnij dać mi najpiękniejszy pas i ten nowy beret.

— Czy się wybierasz na wesele, Janie?

— Tak, i na nie lada wesele, odrzekł, i szyderski uśmiech przemknął po jego ustach.

— Ach! gdybyż to już raz twoje było wesele.

— Przyjdzie czas i na nie... teraz idę patrzéć na cudze... Czy wiesz, matko, że ta bogata panna z Mouguerre i ów piękny, lśniący od złota oficer, uznali że to będzie bardzo zabawnie, jeźli wezmą ślub w naszym wiejskim kościołku,

— Czy być może! zawołała stara Benedykta, otwierając szeroko zadziwione oczy. Nic teraz nie wiem, bo Elissalde nic nie chce mówić od jakiegoś czasu.

— Czuje że raz wypowiedział za wiele, mruknął przemytnik.

— Co też to za dziwactwa przychodzą do głowy tym bogaczom! przecież w Bayonnie wszystko odbyłoby się daleko wspanialéj!

— Zdaje się że pan oficer nie chce prezentować się ze swoją przyszłą przed pięknym światem bayońskim.

— Czy nie ładna?

— Zupełnie brzydka... wygląda jakby wyjęta z trumny, i tak blada jak całun którym zapewnie przykryją ją niedługo... Ale, widzisz matko, jest bardzo, bardzo bogata, ma tyle pieniędzy iż mogłaby zakupić całe Mouguerre, od krzyża na płaszczyźnie aż do jeziora.

— I cóż ztąd, taka schorowana żona nie da mu szczęścia.

— Dotąd jednak dość mu ono sprzyjało, odrzekł zaciskając swe piękne białe zęby.

Tak rozmawiając ubierał się przed zwierciadełkiem, z zadowolnieniem przyglądając się swéj pięknéj postawie; chciał jak najkorzystniéj przedstawić się gościom pałacowym.

Jan Berette dla tego powrócił wcześniéj, że chciał koniecznie być obecnym na ślubie Stefana z panną de Fouzolle; nie kierowała nim ciekawość, wyprowadzająca z ich domów wszystkich mieszkańców Mouguerre do kościoła i na drogę którą państwo młodzi mieli przejeżdżać—miał on ważniejszy powód. W swéj prostéj chłopskiéj logice, wyrozumował sobie:

— Jeźli Gracioza będzie płakać patrząc na ślub tego oficera którego widywano zalecającego się do niéj, to widać nie była nieczułą na jego oświadczenia, widać że albo serce jéj, albo miłość własna mocno jest dotkniętą... Chcę ją widzieć i wyczytać z jéj twarzy, czego po jéj sercu spodziewać się mogę.

I pobiegł lekkim krokiem, pomimo że całą noc szedł bez odpoczynku, tak pilno mu było spojrzéć jednocześnie w oczy swéj narzeczonéj i swego wroga. Zuchwały i awanturniczy jego charakter, nie dozwalał mu obawiać się zbytecznie spotkania z panem de Vambry. Zresztą zrozumiał to że ten którego ugodził w plecy za uderzenie go w twarz szpicrutą, nie chciał widocznie szukać nad nim zemsty. Ale co go do tego skłaniało?... Jan Berette wolał przypisać to pogardzie niż wspaniałomyślności, dogadzało to więcéj jego ślepéj nienawiści. Ani mu przyszło na myśl, że powodem milczenia młodego oficera, była chęć oszczędzenia przykrości Graciozie.

Wieśniacy tłumami biegli ku kościołowi; w najuroczystsze święta nie spotykano tak licznego zgromadzenia. W zwykłych okolicznościach, gospodyni, dziadek lub babka, nie dbający już o zabawę, pozostawali pilnować domu, ale w tym dniu szło o zobaczenie paradnego, nigdy nie widzianego ślubu, więc i dziadkowie i babki wlekli się o kiju, i gospodynie poszły pozamykawszy chaty.

Wszyscy wieśniacy pozdrawiali przyjaźnie Jana Berette! Wiedziano dobrze że miał gdzieś nad granicą jakieś zajście ze strażnikami, ale nałóg przemytnictwa jest tak zakorzeniony między góralami, że zamiast potępiać lubili go i podziwiali jego śmiałość i przebiegłość.

Marya Anna głęboko przeniknięona szczęściem swojem i uroczystością chwili stanowiącéj o całéj przyszłości, nie chciała gromadzić około siebie licznego tłumu obojętnych i ciekawych, zaproszono więc tylko najbliższych krewnych i przyjaciół.

Od czasu jak panna de Fouzolle przeniosła się na mieszkanie w góry i obrała sobie za doktora „miejscową czarownicę“ towarzystwo bayońskie mówiąc o niej wzruszało ramionami, dodając „że chorym bez nadziei należy wybaczać wszelkie dziwactwa.“ Więc i postanowienie brania ślubu w małéj wiejskiéj kapliczce nie dziwiło już nikogo. Zdobne herbami powozy zakurzone zajeżdżały przed pałac w Mouguerre, przed którego peronem stała zaprzężona kareta margrabiny.

Marya Anna ukazała się cała w bieli, otoczona jakby obłokiem z illuzyi i koronek; nie była ładna, jednak w dniu tym głębokie rozrzewnienie i uroczysty spokój rozlany w całéj fizyognomii, dodawały niezwykłego uroku jéj bladej twarzyczce.

Stefan szedł za nią nieco blady, silny niezłomnem postanowieniem jak gdyby idąc na pole walki, kiedy największą odwagą jest bohaterski spokój. Otaczało ich grono rodziny. Brakowało tylko Graciozy, a nieobecność jéj przykrość sprawiła Maryi Annie Gdzież ona była i czemu nie przyszła?

Twarz margrabiny promieniała szczęściem. Opatrzność wysłuchała jej modłów, świat pochwalał jéj wybór i powierzała ukochaną przybraną córkę opiece zacnego i szlachetnego człowieka—mogła więc umierać spokojnie.

Gdy powozy dojeżdżały do kościoła, powstało pewne zamięszanie; tłumy wieśniaków zalegały ciasną drogę; najśmielsi wdzierali się na mur otaczający cmentarz i gdyby nie cześć dla zmarłych, byliby powchodzili na wysobie nagrobki.

Wysiadłszy przed bramą cmentarną, Marya Anna szła do kościoła ścieżką otoczoną grobami; podniosła oczy i spojrzała dokoła, i wtedy wśród natłoku téj dziwnie malowniczéj publiczności, spostrzegła stojącego na murze cmentarnym pięknego młodzieńca wysokiego wzrostu, przyglądającego jéj się śmiało. Jaskrawy jego ubiór a szczególniéj uderzająca piękność i zuchwała mina, dozwoliły jéj domyśléć się że był to ów narzeczony Graciozy, o którego śmiałości wiele jej mówiono.

— Wkrótce i oni będą szczęśliwi!... pomyślała.

Stefan szedł zatopiony w głębokiéj zadumie, i byłby nie dostrzegł wyzywających spojrzeń przemytnika, gdyby jakieś magnetyczne poczucie nie dało mu poznać obecności nieprzyjaciela. Podniósł oczy i utkwił w Jana Berette spokojne, pełne niewysłowionéj pogardy spojrzenie, wzrok przemytnika wyrażał ślepą nienawiść.

Mały kościołek nie mógł pomieścić wszystkich zaproszonych; nigdy jeszcze po kamiennéj jego posadzce nie przesunęło się tyle kosztownych trenów, nigdy w murach jego nie błyszczało tyle świetnych mundurów. Górale przyglądali się oficerom artyleryi, którzy byli obecni na ślubie swego kolegi, jakby posągom świętych wyszłych z nisz swoich lub postaciom wojowników jakich widzieli w muzeum bayońskim.

Ołtarz jaśniał od światła, kwiatów i padających na niego promieni słońca. Na kobiercu zaścielającym schodki, położono owe fioletowe, poduszki! śpiewacy byli trzeźwi i nie fałszowali, a proboszcz wypowiedział taką mowę że aż siostra jego zanosiła się od płaczu, dumna z wymowy brata.

Gdy na pochylone głowy Stefana i Maryi Anny spadło błogosławieństwo Kościoła, po raz pierwszy dusze ich jednem złączyły się uczuciem—ale ona oddawała się jemu bezgranicznie i na zawsze, on postanowił spokojnie dotrzymać złożonéj przysięgi.

W kącie, po za chrzcielnicą, Gracioza modliła się klęcząc. Gorycz zapełniająca jej duszę ustąpiła miejsca ciężkiemu smutkowi, który kazał jéj w niebie szukać wsparcia i pociechy, jak dziecię garnące się pod opiekę matki.

Nie miała siły stroić Maryi Anny w jéj białą szatę ślubną, a może więcéj jeszcze obawiała się aby wymowna jej twarz nie zdradziła tak wielkich, świeżo przebytych cierpień. Ukryta w ciemnym kącie, przez cały czas trwania Mszy klęczała nieruchoma i zlodowaciała, jak kamienne tablice grobowe; dopiero gdy kapłan wyrzekł *Itemissa est* a oblubieńcy mieli przejść do zakrystyi, wstała i odważnie poszła ich pozdrowić.

Wcisnęła się do zakrystyi i stanęła obok Maryi Anny, która podpisawszy akt oddała pióro panu de Vambry.

— A! niedobra! rzekła z czułością postrzegłszy Graciozę; gdzieżeś się kryła od wczoraj? Dlaczego nie przyszłaś do mnie?... chyba byłaś cierpiąca?

— Tak, odrzekła tylko, ściskając silnie małe wyciągnięte ku sobie rączki.

Marya Anna uściskała ją serdecznie, pytając czem może odpłacić jéj opiekę i poświęcenie.

— Pozwalając mi podpisać twój akt ślubny, od rzekła Gracioza.

— Z całego serca skoro to zrobi ci przyjemność! Chodź, pani Bernard odda ci pióro.

Matylda, w której oczach błyszczało złośliwe zadowolnienie, zastosowała się do téj nowéj fantazyi, a towarzystwo bayońskie zostało trochę zgorszone widząc tę prostą baskijską góralkę, jak pewną ręką, choć niezgrabnemi literami, wypisała nazwisko „Gracioza Irribery“ w pośród samych arystokratycznych nazwisk.

Gracioza nie uczyniła tego przez próżność ani przez pychę; przesądna jak wszyscy górale, zdawało jej się iż jeźli własnoręcznie podpisze akt ślubny Stefana i Maryi Anny, odegna tem samem natrętnie ścigające ją wspomnienia i dobrowolnie zniszczone nadzieje.

Podpisawszy wysunęła się z kościoła i nie zatrzymując się wśród tłumów przyglądających się z podziwieniem bogatym mundurom i zasianemu pomarańczowym kwiatem wielkiemu trenowi sukni panny młodej, czego nigdy jeszcze nie widzieli, przeszła w odległy róg cmentarza i tam, między mogiłami Dominika i Wincenty Irribery, oczekiwała wyjścia orszaku weselnego z kościoła. Pokonawszy własne serce, chciała aby gdy ma po raz pierwszy ujrzéć panią de Vambry wspartą na ramieniu Stefa-

na, ona wsparła się na jedynéj opiece jaka jéj pozostała na świecie.

Rozrzewnionem, ale zawsze dumnem spojrzeniem ścigała nowożeńców dopókąd nie doszli do powozu; w spojrzeniu widniało wzruszenie, poświęcenie, współczucie, ale nie było już ani śladu słabości.

Gdy już szmer głosów, życzeń i powinszowań, szelest jedwabnych sukien zawadzających trenami o skromne mogiły i turkot odjeżdżających pojazdów przestał zakłócać ciszę cmentarną, ujrzała nadchodzącego ku sobie człowieka który oddawna śledził każdy jéj ruch, każdą zmianę twarzy. Wyjąwszy owego podpisu aktu ślubnego, Jan Berette ani na chwilę nie spuścił jej z oczu; pomimo swego zuchwalstwa, nie śmiał wejść do zakrystyi. Kto wie do czego by się posunął, gdyby był widział jéj wzruszenie gdy wchodziła i bladość pokrywającą jéj twarz gdy opuszczała zakrystyę. Gdy już mógł ją zobaczyć była jak zwykle zimna i spokojna, anj jedna łezka nie zabłysła w oczach, ani jedno westchnienie nie uleciało z piersi, zacisnął zęby i rzekł sobie:

— Muszę się z nią rozmówić.

Miał teraz najlepszą do tego sposobność, cisza zaległa opuszczony przez tłumy cmentarz.

— Graciozo, rzekł, siadając na tem samem miejscu, na którem, jak mu powiedział Elissalde, piękny oficer siedział obok jego narzeczonéj, tak dawno cię już nie widziałem; czy chcesz porozmawiać ze mną?

— Najchętniéj, Janie, odpowiedziała, ale nie usiadła przy nim.

XVIII.

— Jakiż to paradny ślub, Graciozo!

— Bardzo paradny.

— Czy patrząc na niego nie pomyślałaś o naszym?

— Nie.

— No, bo nasze nie będzie tak okazałe.

— Zapewnie.

— Jednakże jeźli chcesz, mam tyle pieniędzy że mogę zamówić Mszę ze śpiewami, obiad sprowadzić z Bayonny, a wieczorem wyprawić zabawę o jakiéj długo pamiętać będą chłopcy i dziewczęta w Mouguerre.

— Janie, to próżne projekta i stracone słowa.

— Chcesz więc aby odbyło się cicho i skromnie?

— Nie chcę nic zupełnie.

— Co chcesz powiedzieć przez to?

— To coś zrozumiał.

— Więc jeszcze odkładasz nasz ślub?

— Nie odkładam ale nie wezmę go nigdy.

— Nigdy!.. a cóż będzie ze mną.

— Pozostaje ci góra i dubeltówka.

Jan Berette który zaledwie zdołał panować nad sobą w obec téj zimnéj krwi narzeczonej, zerwał się groźny.

— Jesteś moją narzeczoną od lat dziesięciu! zawołał.

— Byłam nią.

— Ja cię kocham!... czy wiesz o tem?

— Wiem.

— A ty, czy przestałaś mnie kochać?

— Tak, Janie.

— Powtórz to!... powtórz!

— Nie kocham cię!

Pochwycił ją za rękę i ścisnął tak gwałtownie że aż pobladła.

— Sprawiłeś mi ból wielki, ale nie zdołasz przestraszyć.

— Dlaczego mną pogardzasz? zawołał zgrzytając zębami.

— Bo nie godzien jesteś nazwy Baskijczyka.

— Ja!... ja, Jan Berette.

— Baskijczykowie są gościnni.

— Czy nim nie jestem?

— Ty!... chcesz zabijać przybyłych.

Jan Berette miotany był teraz szalonym gniewem—i zazdrością. Więc Gracioza wiedziała o tajemniczem zajściu nad jeziorem, i od owéj fatalnéj chwili w duszy jéj zbudziła się dla niego głęboka pogarda.

— Tak, chciałem zabić przybysza który pragnął mi cię wydrzeć! zawołał z wściekłością.

— Czy byłeś o tem przekonany?

— Tak.

— Więc mogłeś wyzwać go do otwartéj walki, ale nie godzić z tyłu jak nikczemnik.

Zaledwie wypowiedziawszy tę krwawą zniewagę, przeraziła się wrażenia jakie nią sprawiła na Janie Berette. Wszystka krew uderzyła mu do głowy, konwulsyjne drżenie wstrząsało całem ciałem, usta drgały bełkocząc niezrozumiałe słowa; chciał odeprzeć obelgę a czuł się nią zdruzgotany.

Zarzut ten z ust téj dumnéj dziewczyny, nietylko go potępiał ale okrywał hańbą. Wypowiedziany głośno, całą wieś oburzyłby przeciw niemu. W szale wściekłości, wysunął nieco z za pasa rękojeść swej ganibetty; zobaczywszy tę broń tak zabójczą w ręku Baska, Gracioza przysunęła się, wyrwała ją szybko i przyciskając silnie ostrze do kamiennéj płyty pokrywającéj grób Wincenty Irribery, złamała je na dwoje.

Jan zatrząsł się z gniewu.

— Coś zrobiła, nieszczęsna! krzyknął.

— Zniszczyłam broń zniesławioną.

— To ganibetta mego ojca.

— Szczęśliwy ten twój ojciec.

— Szczęśliwy?

— Tak, że nie doczekał chwili w któréj syn jego stał się prostym zabójcą.

Dotknięty do żywego, Jan skoczył jak dziki zwierz mający rzucić się na swą zdobycz. Gracioza widziała że może zbliża się ostatnia życia jéj godzina, ale czekała jéj spokojnie, wiedząc że nie ma już dla niéj szczęścia na ziemi, nie lękała się śmierci.

Odblysk rozumu zbudził się w zburzonym umyśle przemytnika, zatrzymał się nagle. Rozpaczliwie zaciśnięte palce trzeszczały głośno; czoło w które uderzał pięściami, głuchy wydawało odgłos. Nareszcie z piersi jego ostra, straszna wydarła się skarga, i jak szalony zaczął uciekać między grobami.

Uderzał o kamienie, zahaczał o krzaki, deptał kwiaty, przewracał nadpruchniałe krzyże, pędząc na oślep przez cmentarz jak burzący wszystko uragan. Gracioza ścigała go przerażonym wzrokiem, w którym odbijały się ślady licznych w dniu tym przebytych wrażeń. Gdy nareszcie, pędząc ciągle, znikł w oddali, weszła do pustego już kościoła, i uklęknąwszy za filarem, do późnego wieczora modliła się gorąco, i ani gwar wioski ani wrzawa pałacowa nie zdołały oderwać jéj myśli.

W pałacu jednocześnie odgrywała się scena zupełnie odmienna, ale nie mniej boleśna. Oczekiwał tam na pana de Vambry posłaniec przysłany przez zarząd telegrafów, aby mu wręczyć nader ważną depeszę.

Była to depesza krótka, ale bardzo jasna. Przewodniczący w komissyi doświadczalnéj, zawiadamiał pana de Vambry, że w skutek rozkazu ministra wojny, *Sekwana* odpłynie jutro wieczorem. Pomimo największego pośpiechu, droga z Bayonny do Hawru jest tak odległą, że wyjechawszy niezwłocznie Stefan zaledwie zdoła przybyć tam przed samem odpłynięciem statku.

Wierząc że moc duszy Maryi Anny przewyższa jéj siły fizyczne, Stefan głośno przeczytał depeszę. W salonie grobowe zapanowało milczenie. Marya Anna mężnie wyszła z téj próby. Uprzedzona w przeddzień ślubu o blizkiem rozłączeniu, znalazła siłę nie okazać na zewnątrz jak boleśnie uczuła że omija ją i ta krótka chwila szczęścia.

Osoby obecne użalały się nad biedną panną młodą, dla której najpiękniejszy dzień w życiu tak smutnie się kończy. Jedna tylko Matylda była zadowolnioną.

„Można się spodziewać, pomyślała, że smutek i tęsknota nie upiękni Maryi Anny, a pan młody, za powrotem, znajdzie istny szkielet!“

Już intercyza, spisana dwa dni przedtem, wielką sprawiła jéj radość. Wiedziony szlachetną bezinteresownością, Stefan nie pozwolił aby margrabina przekazała nią synowicy, choćby tylko jakąś część swego majątku. A jednak majątek to był bardzo znaczny, i miał właśnie stanowić główne bogactwo Maryi Anny. Miała wprawdzie znaczny posag po matce, ale był on niczem w obec milionów margrabiny.

Tak więc idąc za popędem swéj wrodzonéj delikatności, Stefan spełnił tajemne pragnienie swéj „dobréj przyjaciółki Matyldy“—wziął żonę chorowitą, nie ładną, a z nią nie posiadał ani szczęścia ani milionów.

Śniadanie trwało krótko; goście byli poważeni i nie weseli. Stefan słuchał urywanych rozmów i szmeru śpieszącéj się służby, jak się słucha echa jakiegoś obcego nam wydarzenia.

Czyż wszystko to nie było samem tylko marzeniem? Na twarzach obecnych widać tylko smutek lub przymus, a w tym kiosku przystrojonym na najweselszą uroczystość, nie pojawia się ani jeden uśmiech, ani jeden szept wesoły.

Gdzież wieszczka gór co tak uroczo przystroiła to miejsce? Pozostały po niej tylko przepyszne białe bukiety zmięszane z purpurowemi gladiolusami, które wśród ogólnego milczenia, przemawiały niemym swoim językiem.

Ogniste gladiolusy zdawały się mówić: „Powstało w duszy mojéj uczucie nagłe, dziwne, gwałtowne... skrępowaliście je i zagłuszyli powagą rozumu, litości i posłuszeństwa synowskiego, które, jak te białe czyste otaczające mnie kwiaty, przygniotły mnie i zmusiły do milczenia.“

A białe róże i niewinne stokrotki mówiły znowu: „Przedstawiamy najsłodsze w życiu uczucia; otaczamy uroczą wonią prawość, szlachetność, poszanowanie innych i siebie. Pociągamy wiosennym urokiem, zatrzymujemy samą słabością naszą.. czułością osładzamy obowiązek i kwiatem naszym zaścielemy twoje drogi.“

Stefan słyszał tę tajemniczą mowę, i oczy jego, jakby urzeczone, nie mogły oderwać się od białych kwiatów.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 49.

(Ciąg dalszy).

N. 2—8. Kapelusze modne.

N. 2. Kapelusz aksamitny dla młodej panienki.



N. 2. Kapelusz dla młodej panienki.

Jest modną, obecnie bardzo rozpowszechniającą się formą zwaną „cabriolet;" rondo ma podszyte repsem jedwabnym, przybranie stanowi szeroka repsowa wstążka, koronka wyszyta czarnym dżetem, piórko zakończone sznelą i kitka z piórek rajskiego ptaka.

N. 3. Kapelusz dla młodej panienki.

Do przybrania służy szeroki skos atłasowy, zaplisowany w fałdy i szeroka koronka.

N. 4 — 5. Kapelusz z odstającem rondem.

Rycina 4 i 5 przedstawia kapelusz z rondem odstającem od głowy, szeroko nad czołem wysuniętem, z boków do tyłu zwężonem. Na rycinie 4 widzimy model czarny aksamitny z rondem podszytem przemarszczonym atłasem a z wierzchu zakończonem torsadką z perełek. Z przodu wielka kokarda atłasowa, przepięta klamrą, a z boku sute strusie pióro. Rycina 5 załącza kapelusz czarny filcowy, z rondem z boku mocno odstającem podszytem blado ponsowym pluszem i torsadką plecioną z ponsowej sznelki i nitki złotej i srebrnej. Na wierzchu ronda kokarda ułożona ze skosu jedwabnej tureckiej materyi, 24 centym. szerokiego; z boku trzy krótkie piórka wywinięte po za rondo.



N. 1. Czapeczka włóczkowa dla dziecka. Patrz ryc. 16 w N-rze 48.



N. 4 — 5. Kapelusz z odstającem rondem.

N. 6. Kapelusz okrągły filcowy.

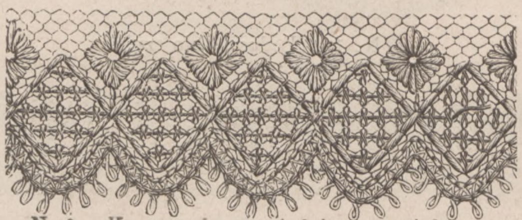
Fason z popielatego filcu z całem przybraniem popielatem, ma płaskie szerokie rondo objęte bufką aksamitną a od spodu podszyte riuszą z piór. Kokarda z dwóch pukli aksamitnych przepięta rozetą z piórek strusich i ptaka rajskiego stanowi przybranie zwierzchnie.



N. 3. Kapelusz dla młodej panienki.

N. 7—8. Kapelusz aksamitny z różowemi piórami.

Ma mocno odstające lekko do tyłu wywinięte rondo podszyte różowym bufowanym atłasem; główka pokryta gładko czarnym aksamitem a boki i wierzch ronda przemarszczane w bufki przybranie stanowi szeroka wstążka aksamitna czarna z różowym atłasowym spodem.



N. 9. Koroneczka wywiedziona na tiulu.



N. 6. Kapelusz filcowy okrągły.



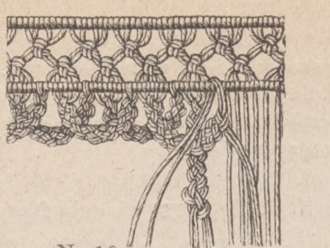
N. 7. Kapelusz aksamitny z różowemi piórami. Patrz rycina 8.



N. 8. Kapelusz aksamitny. Patrz ryc. 7.

N. 10 — 14. Serwetka z pasów wiązany h i dzierganych kwadratów.

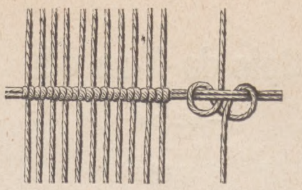
Materyał: bawełna kręta Nr. 40; cienkie płótno, bawełna do haftu Nr 60. Dwa pasy robotą wiązaną (macramé) po 29 cent długie, zakończone frendzlą i cztery dziergane kwadraciki składają serwetkę przedstawioną na rycinie 14. Ryciny 11 — 13 objaśniają szczegółowo robotę wiązaną pasów; ryc. 10 podaje trochę więcej jak połowę kwadratu którego brzegi dziergane odrobione są pikotami (point de minute); w miejscach gdzie tło płócienne jest wycięte potrzeba dodać aksamitu.



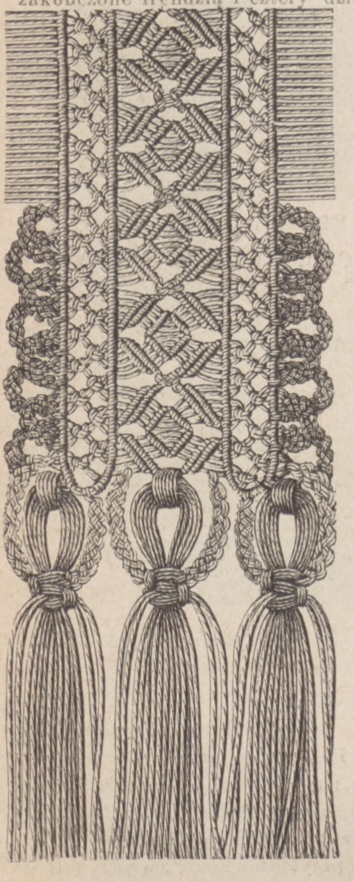
N. 12. Wiązanie brzegów w ząbki do ryc. 13.



N. 10. Część kwadratu dzierganego do ryc. 14.



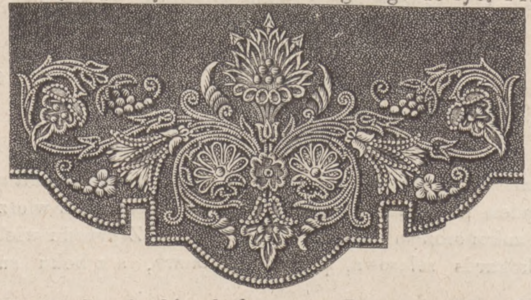
N. 11. Zarzucanie nitek roboczych przy zaczęciu roboty macramé ryc. 13.



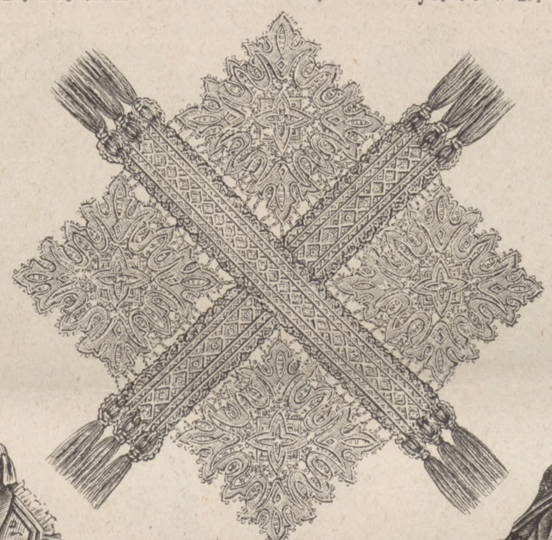
N. 13. Część pasa robotą wiązaną, do ryc. 14. Patrz ryc. 11—12.

N. 15 i 30 w N-rze 48. Lambrekina. Haft i aplikacya aksamitu.

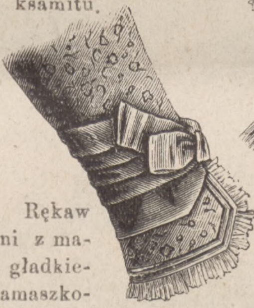
Bardzo efektowny haft odrobiony jest na tle z czarnego sukna filozelą w różnych kolorach i różnemi rodzajami ściegów, jako to atłasek, haft płaski którym przyszyta jest aplikacya aksamitu, ścieg długi i łańcuszkowy. Zasługuje na uwagę nowy sposób naszywania filozelą odstającą wypukle, jak to widać na ryc. 30; nitkę filozeli trzeba przerobić gładko na drutach i spruć aby się karbowała a następnie wyszywać nią kontury, przytwierdzając poprzecznemi ściegami z jedwabiu, tak aby każdy karbok odstawał wypukło.



N. 15. Lambrekina haftowana. Patrz ryc. 30 w N. 48.



N. 14. Serwetka z kwadratów dzierganych i pasów macramé. Patrz ryc. 11—13.



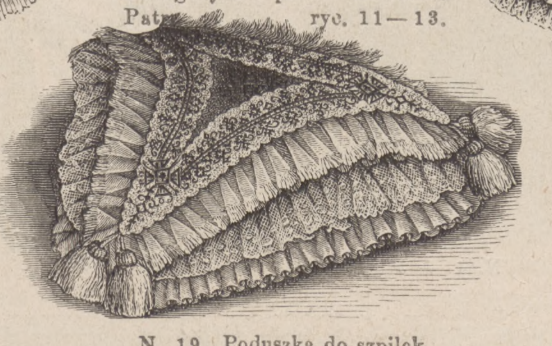
N. 17. Rękaw do sukni z materyału gładkiego i adamaszkowego zdobny kokardą.



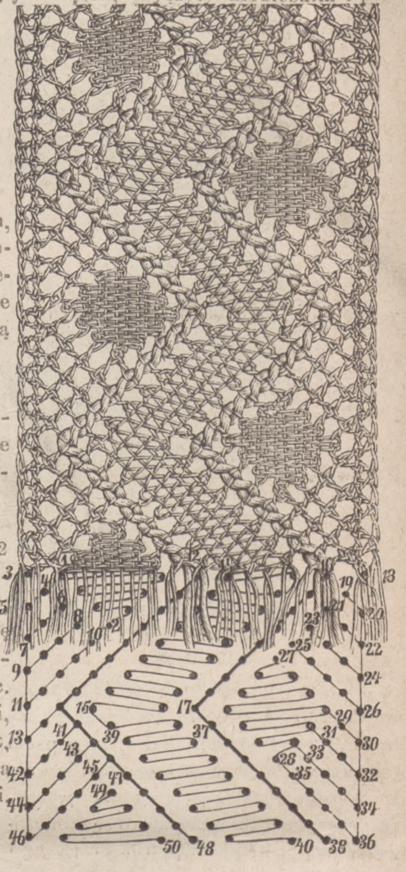
N. 18. Rękaw do sukni z materyału w deseń turecki ozdobiony wykładem, plisowaniem i bufą.

N. 19. Poduszeczka do szpilek.

Ma formę trójkąta 19 cent. długiego, w środku do 5 centym. wypukłości, wysłanego pachnącą watą; zwierzchnie pokrycie stanowi ponsowy aksamit. Pasek białego sukna wycięty w ząbki, wyszyty niebieskim i ponsowym jedwabiem, riusze z atłasu i koronki i kwaściki jedwabne przyszyte na rogach stanowią przyozdobienie.



N. 19. Poduszka do szpilek.

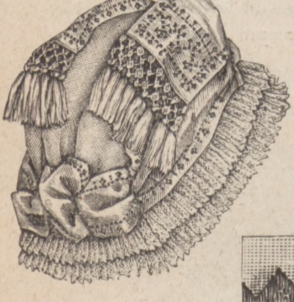


N. 16. Wszywka niciana robiona ręcznie podług deseniu napiętego szpilkami.

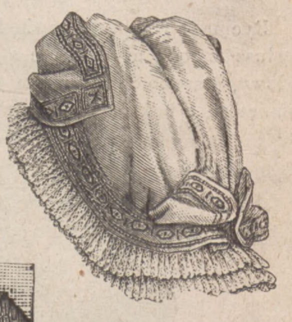
N. 20—23. Czepeczki ozdobione wyszyciem krzyżykowem.

Ryciny 20 i 22 przedstawiają modele czepeczków, których podstawę stanowi pasek sztywnego tiulu 49 c. długi a 3 szeroki, z boków po 7 cent. od tylnego środka zagięty w rogi. Denka krają się z muślinu wziętego skośnie i fałdują podług znaków wskazanych na rycinie 21 — 23.

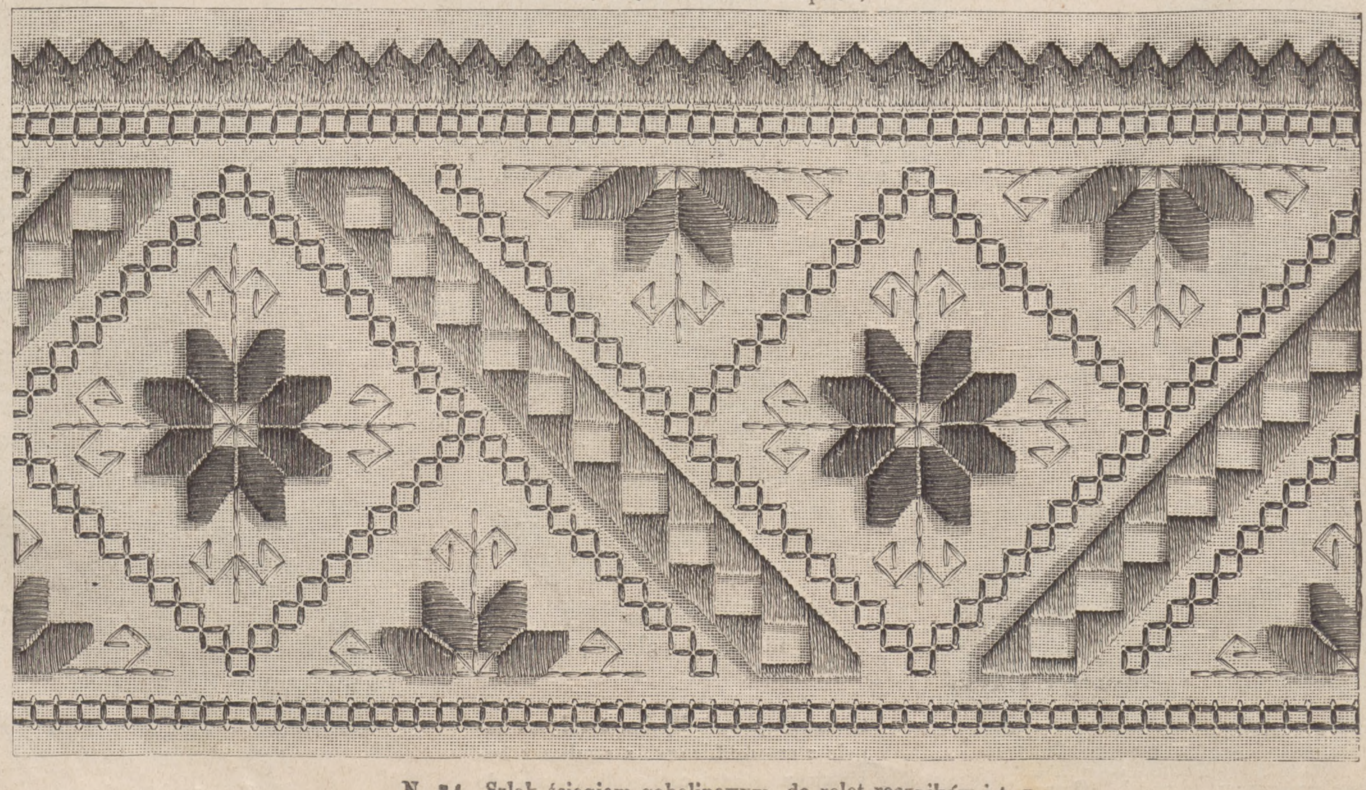
Czepeczek załączony na rycinie 20 jest ogarnirowy dwoma rzędami plisowanej koronki; przybranie stanowi szalik z białego fularu 11 cent. szeroki, 110 długi, ozdobiony w około brzegów szlaczkiem krzyżykowem i u dołu oszyty frendzlą. Denko układa się podług ryc. 21. Na rycinie 22 widzimy negliżyk upięty z białej fularowej chusteczki podług ryciny 23; fałdy oznaczone na 15 cent od górnego brzegu, powin-



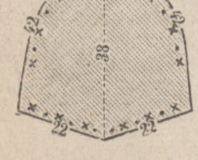
N. 20. Negliżyk zdobny szalikiem z wyszyciem krzyżykowem. Patrz rycina 21.



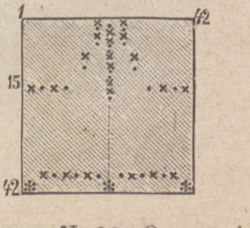
N. 22. Negliżyk z chusteczki fularowej. Patrz rycina 23.



N. 24. Szlak ściegiem gobelinowym, do rolet ręczników i t. p.

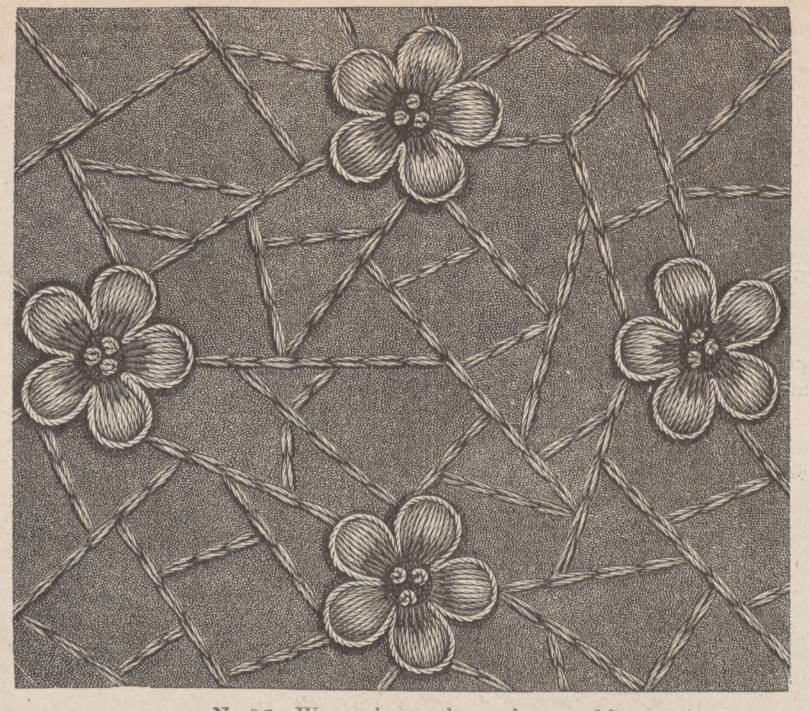


N. 21. Krój denka do ryc. 20.



N. 23. Oznaczenie fałd przy układaniu

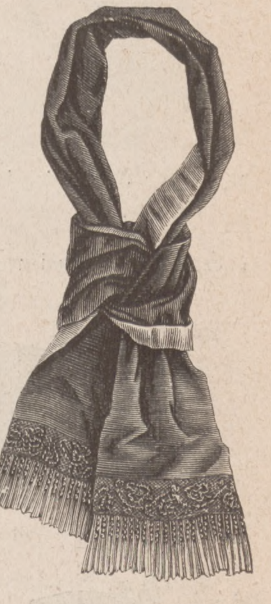
ny schodzić się z fałdami idacemi z prawej i lewej strony środkowej kontrafałdy; dolny brzeg chusteczki fałduje się i przyszywa do paska w ten sposób ażeby brzegi złożone gwiazdką do gwiazdki stanowiły dwa pukielki widoczne na ryc. 22. Górne rogi chusteczki odłożone na denko tworzą jakby kokardę.



N. 27. Wyszycie na pluszu do ryc. 28.

N. 29 i rycina 9 w N-rze 48. Kaftaniczek włóczkowy dla dziecka.

Rycina 9 w N-rze 48 załącza próbkę ściegu tunetańskiego na tło i wzór szlaczku. Kaftanik zaczyna się od dołu na 100 oczek i przerabia gładko 6 rzędów, tylko na środku pleców już od piątego rzędu zaczyna się gubić po 1 oczku; model nasz liczył do wykroju szyi 42 rzędów w których co trzy obrobienia gubi się 1 oczko. Zrobiwszy 19 rzędów potrzeba rozdzielić oczka na plecy i przody i każdą część robić oddzielnie (przody liczą po 22 o.) pasując podług formy. Rękawki zaczyna się od góry na 44 o. 25 rzędów stanowi długość; u dołu rękawek nabiera się na druty i przerabia 13 razy (2 o. gł. 2 o. kr.) poczem dodaje szlak szydełkowy.



N. 26. Krawatka z atłasu ze szlakiem perełkowym.



N. 25 Krawatka z wstążki i koronki bretońskiej.

Potrzeba na nią dwóch kawałków wstążki odmiennego koloru, po 9 c. szerokości, które jaknajniewidoczniej zszywa się z sobą; końce spięte są śpiczasto i ogarnirowane szeroką plisowaną koronką, sposób wiązania wskazuje ryc. 25

N. 25. Krawatka z wstążki i koronki bretońskiej.

N. 26. Krawatka atłasowa ze szlakiem z perełek.

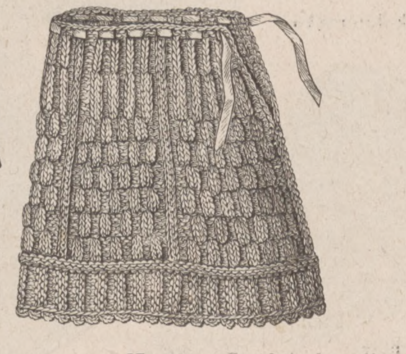
Zszyta z dwóch kawałków atłasu po 170 cent. długich a 14 szerokich, zwierzchni czarny a spodni blado żółty. Zakończenie brzegów dolnych stanowi, drobniutko plisowana blado żółta repsowa wstążka, 8 cent. szeroka i szlak ze szmelcowanych perełek naszytych na tiulu, z wiszącemi grelotkami.



N. 29. Kaftaniczek szydełkowy dla dziecka.



N. 28. Stoliczek z haftowanem przykryciem. Patrz ryc. 27.



N. 30. Spódniczka dla małej dziewczynki.



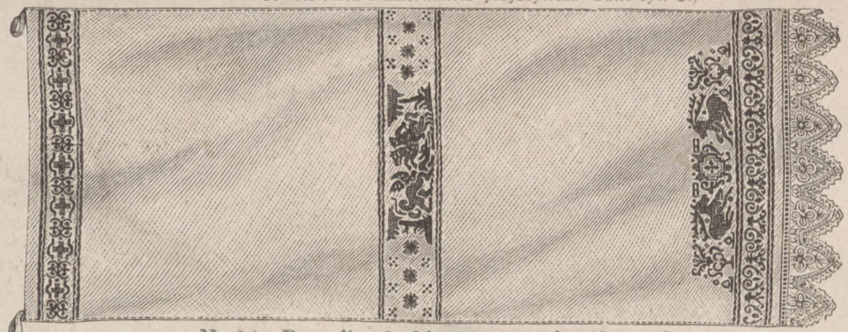
N. 31. Trzewik do domowego ubrania.



N. 32. Pantofel włóczkowy robiony na drutach do włożenia w bucik dla ciepła.

N. 36. Suknia biała muślinowa.

Suto przybrana wszywkami i koronką bretońską składa się z bluzki i garnirowanej spódnicy. Przybranie dane wzdłuż przodów bluzki przedłuża się tak samo środkiem pleców; rękawy sięgające do łokci, zakończone koronkowemi falbanami. U dołu spódnicy dane plisowanie 36 cent. szerokie, naszyte kilka razy wszywką, po nad którem zamiast nagłówka dana 6 cent. szeroka drobniutko plisowana falbaneczka i riusza wachlarzowa z koronki. Tunikowe upięcie z przodu sukni, naszyte poprzecznie wszywką, jest z boków ściętych skośnie i środkiem przodu zebrane w fałdy, zakładane w górę. Długi prosty bryt muślinu u góry zebrany w kontrafałdę upięty jest



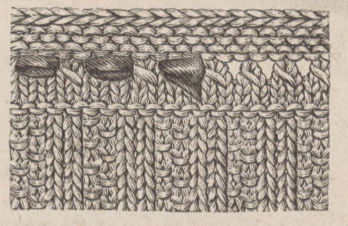
N. 34. Ręcznik odrobiony wyszyciem krzyżykowem.



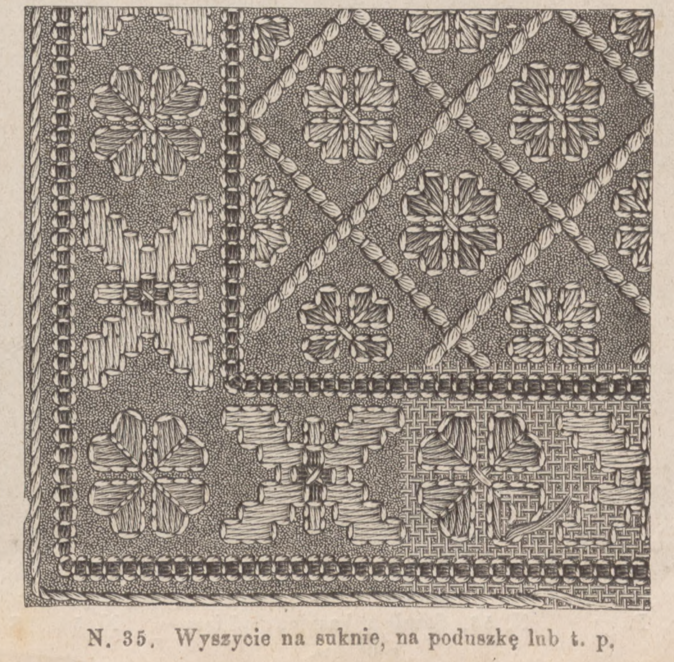
N. 36. Suknia biała muślinowa.

N. 27—28. Stoliczek z przykryciem haftowanem.

Maleńki stoliczek w formie listka koniczyny, z drzewa czarno politurowanego, lekki do przenoszenia i dający się postawić przy kozetce lub fotelu, odpowiedni jest pod książki do czytania. Przykrycie stanowi plusz w kolorze stosownym do pokrycia na mebłach, wyszyty filozelą, podług deseniu załączonego na ryc. 27. Kwiatki wyszyte dwoma kolorami i obwiedzione nitką złotą, między rzucikiem na całem tle dana nieforemna kratka, wyszyta łańcuszkiem. Frendzla kręcona 14 c. szeroka.



N. 33. Robota na drutach do ryc. 32.



N. 35. Wyszycie na suknie, na poduszkę lub t. p.



N. 37. Suknia ze stanikiem i panier. Patrz ryc. 54.



N. 38 — 40. Modne biżuterje.

z tyłu na sukni w lekkie bufy. Środkiem przodu idzie wachlarzowe fałdowanie z koronki. Pasek i kokardy z wstążki atłasowej.

N. 37 i 54. Suknia ze stanikiem a panier.

Rycina 37 przedstawia przód sukni białej muślinowej a ryc. 54 podobnie odrobioną suknię z czarnej jedwabnej grenadyny, z czarnemi koronkami. Spódnica nie sięgająca ziemi ma u dołu dwie falbany po 12 cent. szerokie, ułożone w kontrafałdy. Na przednim brycie (patrz rycina 37) dane w odstępach bufki po 6 cent. szerokie u góry zakończone nagłówkiem u dołu podszyte koronką.

Z boku sukni dane oddzielne bryciki fałdowane w całej długości zakończone bufką, dopełnione z tyłu prostym zręcznie upiętym brytem. Stanik ma przody przemarszczone na ramiona środkiem otwarte i odsłaniające kamizelkę spiętą na guziczki. Panier krajane w jednym ciągu ze stanikiem z przodu zebrane w fałdy pod kokardami, z tyłu wpuszczone na szwach przy środkowych częściach pleców. Przybranie pleców u dołu wskazuje rycina 54, pasek dany jest od boków.

N. 38—41. Biżuterje modne.

Ryc. 38 przedstawia bransoletkę niklową przy której na długim łańcuszku zawieszony jest elegancki ołóweczek; ryc. 39 podaje strzałkę do włosów wyrzeźbioną z kości słoniowej. Maleńki otwarty wachlarz stanowiący broszkę wyrobiony ze srebra świecącego a kwiaty są oksydowane. Ryciny 41—43 wskazują dwie bransolety jedną w kształcie srebrnego łańcucha na którym zawieszony medaljon formą orzecha. Druga bransoleta wyrobiona ażurowo ze srebra i ozdobiona złoceniem. Rycina 43 załącza szpilkę do włosów w kształcie halabardy.



N. 41—43. Modne biżuterje.



N. 44. Kokarda do włosów lub kołnierzyka.



N. 50. Pelerynka sznelowa robiona na drutach. Patrz ryc. 17 w N. 48.

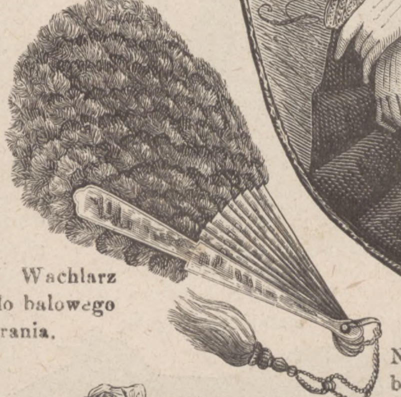
N. 51. Kreza z plastronem.



N. 46. Kokarda do włosów lub kołnierzyka.



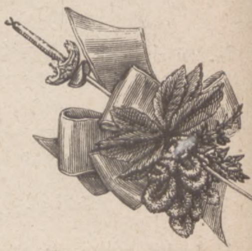
N. 45. Kokarda z kwiatami.



N. 48. Wachlarz z piór do balowego ubrania.



N. 49. Modne rękawiczki.



N. 47. Kokarda ze sznelowemi kwiatami.

N. 50 i ryc. 17 w N. 48. **Pelerynka** sznelowa robiona na drutach.

Stanowi eleganckie dopełnienie ubrania na koncert lub do teatru i odrobiona jest z materyału bardzo podobnego do szneli, który używają na frendzle. Robota zaczyna się przy jednym rzędzie siatki zrobionej na wałeczku mającym 3 cent. obwodu. Oczy siatkowe powinny być z tejże sznelki co pelerynka gdyż stanowią potem jej brzeg, do którego przywiązywana jest frendzla; po zrobieniu rozciągają się zupełnie gładko na nitce 175 cent. długiej, następnie trzeba je nabrać na drut drewniany (3 cent. obwodu) i przerobić raz gładko, poczem zaczyna się deseń.

(d. n).



N. 52. Ubranie wieczorowe z szalikiem. Patrz ryc. 33 w N-rze 48.

N. 53. Stanik z baskiną podpiętą z boków.

N. 54. Suknia ze stanikiem a panier. Patrz rycina 37.